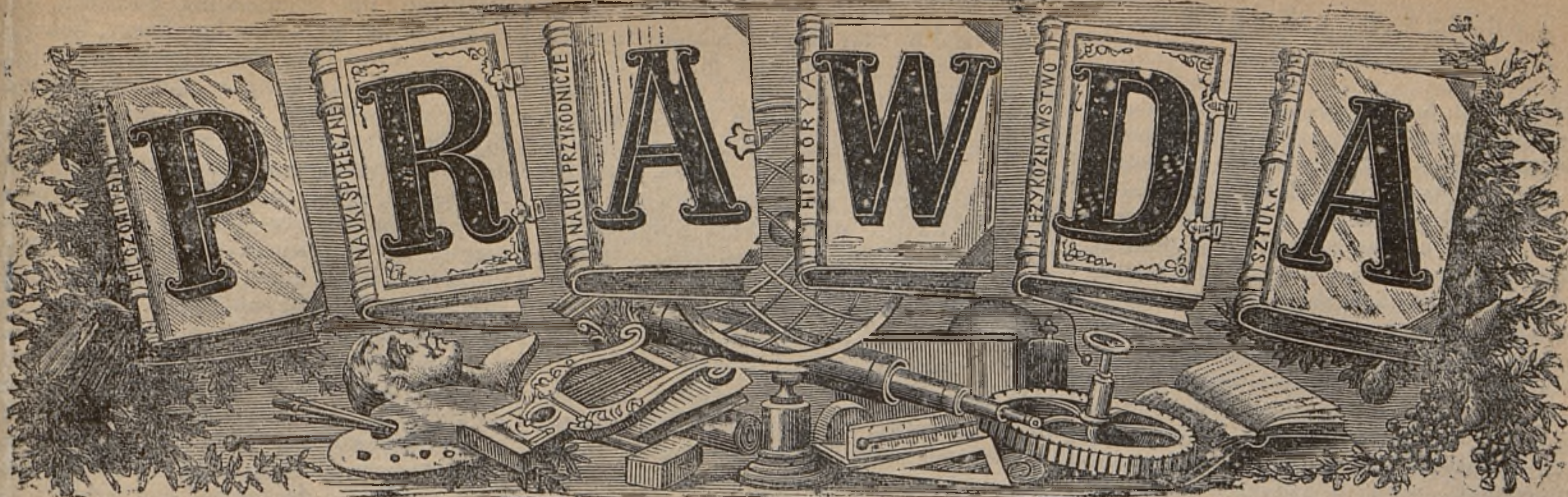
№ 48. Warszawa, dnia 30 (18) Listopada 1889 r. Rok IX.




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



# POLITYKA.

## ZDOBYWANIE AFRYKI.

Stanley poszukuje we wnętrzu Afryki i ocala Livingstone'a, Peters — Emina, Wissman — Petersa — śliczne tematy do gwiazdkowych opowiadań dla dzieci, lubiących czytać podróże i opisy niebezpieczeństw bohatórów w dzikich krajach. Romantyczne te jednak wyprawy mają podkład bardzo prozaiczny, który powinien znowu zająć uwagę ludzi dorosłych. Pod pozory rycerskości, filantropii, kultury i nauki podszywają się coraz jawniej bardzo poziome rachuby, które z muzami niewiele albo nic nie mają wspólnego. Kiedy Benet, wydawca new-yorskiego *Heralda*, wysłał Stanleya dla odnalezienia Livingstone'a, zastrzegł sobie, ażeby wiadomości o tej wyprawie podawane były— tylko w jego dzienniku. Pewna wspaniałomyślność grała tu rolę, ale obok niej występowała reklama, na którą milioner amerynański nigdy nie żałuje pieniędzy. Przez cały też czas podróży Stanleya wszystkie pisma europejskie i amerykańskie brzmiały pochwałami dla wydawcy *Heralda* i powtarzały za nim doniesienia. Śmiała idea okazała się plodną. Skoro Stanley przywiózł do Anglii nietylko Livingstone'a w trumnie, ale i ciekawe odkrycia, wielki kapitał, któremu w świecie cywilizowanym już za ciasno, zaczął rozmyślać nad otworzeniem sobie nowego pola zaborów. Więc zuchwały podróżnik, opatrzony złotem bogatych kupców i przedsiębiorców, powędrował do wnętrza Afryki z celem zbadania jej dla wyzysku, a pod pozorem wyzwolenia Emina paszy (d-ra Schnitzera), który po zwycięztwie mahdistów nad wojskami anglo-egipskiemi i upadku Chartumu uwiązł w nieprzyjacielskim pierścieniu na południu Sudanu. Co były reporter *Heralda* znalazł, jakie bogactwa w zwiedzonych krajach podpatrzył, jak je według niego opanować można — o tem powie tylko swym pieniędzodawcom. Z listów jego wiadomo tyle, że przebył straszną drogę, utracił wielu ludzi, dotarł do Emina, władającego dość obszernem, naprędce sklejonem państewkiem i gdy chmura arabska z północo-wschodu zagroziła zniszczeniem, namówił go do łącznego powrotu. Powrót ten odbył się nie przez „sferę interesów" angielską, lecz niemiecką, co świadczy, że cel wyprawy Stanleya nie wypadł dla anglików całkiem pomyślnie.

Na odsiecz Eminowi podążał również dr. Peters, ale i ten bądź na własną rękę, bądź na korzyść spółki niemieckiej chciał urwać kawał lądu afrykańskiego i przy tej operacyi podobno zginął.

Wreszcie Wissman miał także nieść pomoc Eminowi, przedewszystkiem jednak ucywilizował oporne plemiona po prusku i zakreślił strzałami armatnimi „sferę interesów" niemieckich. Niedługo trzej cywilizatorowie Afryki staną albo już stanęli w Zanzibarze, na gruncie bezpiecznym, i zrobią rachunek ze swoich przedsięwzięć. Dla Afryki zaś środkowej od tej chwili rozpocznie się nowy okres — epoka zmiany „dziewictwa" na polyandryę z państwami europejskiemi.

Niepodobna zaprzeczyć, że zwłaszcza Livingstone i Stanley zbogacili wiedzę naszą wieloma ważnemi odkryciami, których dostarczą jej również i dalsze wyprawy do nieznanych i niepodległych ziem Afryki. Ale że „misyę cywilizacyjną" spełniać będzie gwałt, że główne jej zadanie spocznie w łupiectwie i zaborach, że przedewszystkiem nasyconą być musi chciwość — o tem nikt wątpić nie powinien. Wnętrze Afryki było dotąd jedynym obszarem, do którego nie sięgnął ani wpływ, ani kapitał, ani oręż Europy; nic więc dziwnego, że w tym kierunku zwracały się tęskne jej spojrzenia, a teraz zwracają się energiczne wysiłki. Jak niegdyś po wyprawie Kolumba awanturniczość, siła i głód zysku rzuciły się do Ameryki, tak obecnie nęci te żywioły Afryka środkowa.

Z jaką szybkością i pośpiechem odbywa się to opanowywanie Afryki, przekonywają dzieje lat ostatnich. Przypomnijmy sobie, ile za świeżej pamięci naszej dokonano zaborów (Kamerun, Witu itd.), ile wytworzono spółek, urządzono wypraw i założono kolonij, które od wschodu i zachodu coraz dalej posuwają się w głąb, jak przy przekopie tunelu z dwu stron góry. Za lat parę pracujący przy tem wierceniu skały spotkają się w jej środku, a przez wybity otwór przeciągną się szyny i przelatywać będą po nich pociągi zdobywców i cywilizatorów z wagonami naładowanymi Biblią i wódką lub kością słoniową, kruszcami i klejnotami. Jesteśmy świadkami tej roboty, więc ona nas nie zadziwia; dopiero potomkowie nasi, spojrzawszy na jej dzieła zoddali, ocenią ich doniosłość i znaczenie wszechświatowe. Dla nich będzie to wyraźniejszem, niż dla nas, że koniec wieku XIX-go był końcem niepodległości Afryki, która następnego stulecia doczeka już w pętach Europy. Kardynał Lavigerie może być spokojnym, arabski handel niewolnikami wkrótce zniknie i ustąpi miejsca europejskiemu, który nie będzie murzynów wywozić okrętami do innych części świata, lecz ich zaprzęże do jarzma na miejscu. Niestety, cywilizacya obecna innych sposobów apostołowania nie zna lub nie używa; więc wzdrygając się na okrutne jej środki, musimy się pogodzić z koniecznością. Pochodnia jej naprzód pali, a potem oświeca.

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Glupowate telegramy—jeżeli wogóle po drucie przybywają i nie są wyrobem miejscowym — nie przestały nas nawiedzać i w zeszłym tygodniu. Z Berlina np. doniesiono: „będzie pókój!" Ależ co najmniej od lat czterech jest to jedyny kamerton, według którego stroją się wszystkie instrumenty narodowe na występach publicznych; dalej jest to orzech z dziurką, w którym nie ma żadnego ziarna, o czem wszyscy również wiedzą. Jednocześnie wszakże nikt nie wątpi, że przez zimę „będzie pokój," bo jak deszcz ochładza rozruchy uliczne, tak śnieg—zapały wojenne. Kiedy jeszcze nie wynaleziono kolei żelaznych, mogących szybko przerzucać armie, trudno było sobie wybierać dogodną porę do marszów i bitew; ale dziś ktoby tam załatwiał w mrozy to, co zrobić może podczas ciepła. Więc każda jesień i zima są obrazami pokoju, a każda wiosna i lato okresami wojny.

Stał się fakt dziwny, niespodziewany, niewytłomaczony: narodowo-liberalni nie przeskoczyli przez kij rządowy i wymagają, ażeby go nieco zniżono. Opór ten objawili w komisyi radzącej nad ustawą przeciwko socyalistom, żądając albo nadania przepisom trwałości określonej, albo usunięcia paragrafu, zaopatrującego policyę mocą wydalania winowajców. Ta odwaga niczego jeszcze nie dowodzi—zauważają opozycyjne gazety niemieckie; z komisyi ustawa przejdzie do sejmu, gdzie będzie trzykrotnie poddana głosowaniu, a jak uczy wielokrotne doświadczenie narodowo-liberalni nastraszywszy rząd swym buntem przy dwu pierwszych głosowaniach, nagle przy trzeciem wracają do swej skóry i skaczą dokładnie przez kij.

Sejm węgierski nie przestaje być widocznią gwałtownych napaści na Tiszę, który dotąd okazuje wielką przeciw nimjodporność, ale zdaje się, że one go prędzej czy później zmęczą, znużą i do ustąpienia zmuszą. Niedawno znowu zaatakowano go z powodu Kossutha, który w bieżącym roku traci jako wychodźca prawo obywatelstwa węgierskiego; otóż opozycya żądała, ażeby prawo to nadal mu zachowano. Minister zręcznie wywikłał się z trudności, oświadczywszy, że Kossuth posiada obywatelstwo honorowe od wielu miast, które nigdy nie upływa. Ale chociaż załatwiono tę sprawę, znajdzie się wkrótce druga, trzecia, dziesiąta—i tak dalej.

Rozdział między staro- a młodo-czechami rozszerza się i pogłębia tak daleco, że niedługo będzie przepaścią. I tu lada sposobność dostarcza powodu do ostrego starcia. Przed kilkunastu dniami młodo-czesi wystąpili z myślą uczczenia Hussa. Starzy oparli się temu, a książe Schwarzenberg obrzucił owego reformatora potępieniem. Naturalnie młodo-czesi podnieśli straszliwy krzyk i rozpoczęli zbierać składki na pomnik dla Hussa, które płyną obficie. Znowu tedy otworzyła się rana, która długo oba stronnictwa jątrzyć będzie.

Wtajemniczeni w życie dworu austryackiego wiedzą, że cesarzowa Elżbieta nie lubi swego najbliższego otoczenia, unika wszelkich występów ceremonialnych, łamie prawa etykiety i stara się być ciągle zdala od Wiednia. Krew Ludwika bawarskiego objawia się i w jej żyłach zamiłowaniem swobody, gustami wychodzącymi po za granice jej stanowiska i namiętnością do podróży. Niedawno telegraf doniósł w półurzędowym dzienniku wiedeńskim, że cesarzowa wyjechała z Korfu w niewiadomym kierunku, a w kilka dni później, że jej okręt widziano na morzu Śródziemnem. Otóż pokazała się w Kartaginie, gdzie zwiedziła miejsca i zabytki historyczne. Ta niezmiernie sympatyczna kobieta po śmierci syna zapada w melancholię, z której wypływa jej niepokój i pragnienie ciągłych a niekontrolowanych podróży.

---

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### WŚRÓD TEGOCZESNEJ FALI SPOŁECZNEJ.

*II. Około fabryki.*

„Maszyna," tj. nowoczesne sposoby produkowania, na krańcach międzynarodowego obszaru wymiennego działa przeważnie i nawet jedynie jako potęga burząca, która po sobie zostawia tylko rozprzężenie i bezład. Byłoby ciekawem, gdyby ktoś zechciał z tego stanowiska oświetlić postępy „cywilizacyi" w Afryce: jak naprzód wysyła się tu szpiegów w rodzaju Camerona lub Stanleya, jak następnie bieży przekupień, łechcący barbarzyńską pożądliwość starymi a zarażonymi mundurami żołdactwa europejskiego lub sfałszowaną gorzałką, jak wreszcie pod wpływem handlarzy, lichwiarzy i awanturników ustrój społeczny tubylców ulega rozkładowi w kierunku zwyrodnienia moralnego i nędzy materyalnej... Zresztą zbytecznem byłoby udawać się tak daleko. Zwróćmy swe oko ku krainom naddunajskim, gdzie różne Länderbanki przeprowadzają tresurę cywilizacyjną. Rósł niegdyś las w pewnem miejscu. W pobliżu przeprowadzono kolej. Zjawia się nowoczesny rycerz, bohater sakiewki, i bierze się do wywiezienia drzewa w dalekie okolice, gdzie maszyna rozsiadła się na dobre. Ściąga tłumy traczów z sąsiednich wsi, płaci im gorzałką i ciałem dziewcząt. A kiedy wyciął drzewo, umyka koleją, z naładowanym trzosem, pozostawiając w przyrodzie nagą pustynię i porzucając bez zarobku ludność, którą oduczył od dawnego trybu życia... Jeden z najsympatyczniejszych dla mnie pisarzy, Hlob Uspienskij, w wielu ze swoich prac kreśli właśnie różne skutki tej fali wymiennej, która odbija od ognisk nowoczesnych produkcyi przerabiającej i biegnie ku społecznościom materyałów surowych. Krok za krokiem śledzi on, jak „panowanie kuponu" wielmożnieje, wzmaga się i wytwarza rozkład i nędzę wśród tłumów, co wyrosły na łonie solidarności gminnej. Atoli mając przed sobą tylko pojedynczy a oddzielony płód „maszyny," bierze on skutek za główną przyczynę. „Kupon," tj. wymiana zakrywa mu istotne źródło, z którego wypływa — przedsiębiorstwo przerabiające, oparte na nowoczesnych metodach produkcyi. W gruncie rzeczy zapanowanie kuponu na Wschodzie jest tylko objawem rozwielmożnienia się maszyny gdzieś tam w dalekich krajach. Udajmy się przeto do tego ogniska, skąd wybiegają wszystkie fale wymienne i dokąd dążą wszystkie arterye przewozowe. Odrazu rzuci się inny widok w oczy. Wprawdzie i tutaj nie zbywa na oznakach rozkładu. Przyspieszone bankructwo rzemiosła, lichwiarstwo na wsi i upadek włościaństwa, zwyrodnienie fizyczne ludności miejskiej, niepewność jutra i nędza wśród tłumów najmickich, przesilenia przemysłowe i finansowe — lecz dosyć, litania ta jest zbyt długa, aby ją w całości wypowiedzieć. Atoli jednocześnie podążają prądy inne. Rycerz kuponu wyniszczył las w Hercegowinie i puścił na cztery wiatry rzeszę najmitów, którą wywlókł z ich dotychczasowego bytu. Posiadacz maszyny, który wysłał go na

---

# DO MŁODZIEŃCA*)

Przedmowa Bourgeta do powieści *Uczeń*.

Tobie chcę poświęcić tę książkę, młody synu mojego kraju, tobie, którego znam tak dobrze, chociaż nie wiem nic ani o twojem mieście rodzinnem, ani o twojem imieniu, ani o rodzicach, ani o majątku, ani o twoich ambicyach, o niczem, prócz tego, że masz więcej niż lat osiemnaście, a mniej niż dwadzieścia pięć, i że zwracasz się do nas starszych, szukając w naszych książkach odpowiedzi na dręczące cię pytania. A od odpowiedzi tam napotykanych zależy cząstka twego życia moralnego, cząstka twej duszy; twoje zaś życie moralne jest życiem moralnem samej Francyi, twoja dusza jest jej duszą. Za lat dwadzieścia od dziś ty i twoi bracia dzierżyć będziecie w ręku los tej starej ojczyzny, naszej wspólnej matki. Wy będziecie nią samą, tą ojczyzną! Cóżeś zaczerpnął, coście zaczerpnęli wy wszyscy z naszych dzieł? Myśląc o tem, każdy uczciwy pisarz, jakkolwiek byłby on małym, musi zadrżeć przed odpowiedzialnością...

W *Uczniu* moim znajdziesz właśnie badanie jednej z tych odpowiedzialności. O, gdybyś mógł stąd poczerpnąć dowód, że przyjaciel, który pisze te słowa, w braku wszelkich innych zasług, posiada tę jedną, że głęboko wierzy w poważne znaczenie swojej sztuki. Gdybyś mógł w tych właśnie słowach znaleźć dowód, że on myśli o tobie, myśli z troską!

Tak, on myśli o tobie, i to już od dawnego czasu, od owych dni, gdyś ty rozpoczynał dopiero naukę czytania, podczas gdy my, co obecnie zbliżamy się do czterdziestego roku życia, bazgraliśmy nasze pierwsze wierszydła i pierwsze stronice prozy przy huku dział, które grzmiały pod murami Paryża. W naszych studenckich izdebkach nie było wesela w owej epoce. Najstarsi z pomiędzy nas tylko co wyruszyli na wojnę, a my, którzy zmuszeni byliśmy zostać w kolegium, w głębi naszych klas, napół opustoszałych, czuliśmy, że na barki nasze już spada wielki obowiązek podźwignięcia ojczyzny.

Myśmy wzywali cię często naówczas w tym fatalnym 1871 roku, o młody francuzie teraźniejszości — my wszyscy, którzyśmy chcieli poświęcić nasze siły literaturze. Moi przyjaciele i ja powtarzaliśmy piękne wiersze Teodora de Banville:

> Wy, w których witam światło jutrzni wieszcze,
> Od których czekam miłości,
> Młodzieńcy czasów nienadeszłych jeszcze,
> Święte zastępy przyszłości!

O, myśmy pragnęli tę zorzę jutrzejszą oglądać tak promienną, jak nasza zorza była melancholijną i zaciemnioną parami krwi. Myśmy pragnęli zasłużyć na waszą miłość, bracia młodzi, urodzeni w dniach owych, pozostawiając wam jednak możność w czemkolwiekbądź osiągnąć wartość wyższą od naszej. Myśmy mówili sobie, że naszem zadaniem było oddać wam nową Francyę, dzięki naszej działalności publicznej i prywatnej, dzięki naszym czynom i słowom, dzięki naszej żarliwości i przykładowi, wykupioną po porażce, odbudowaną na zewnątrz i na wewnątz. Jakkolwiek byliśmy wówczas młodzi, rozumieliśmy jednak, nauczeni przez naszych mistrzów — i to właśnie było najpiękniejszą ich nauką — że tryumfy i porażki zewnętrze tłomaczą się przymiotami i błędami wewnętrznymi. Wiedzieliśmy, że zmartwychwstanie Niemiec

*) Ani w powieści Bourgeta, ani w jego do niej przedmowie nie znajdujemy tej głębokiej filozofii, którą mu przyznano. Ażeby jednakże dać czytelnikowi jasne wyobrażenie o tej nowej „jutrzence," zamieszczamy odbijającą jej światło przedmowę z *Ucznia*—naturalnie zapisując wszystkie jej twierdzenia na wyłączny rachunek autora. *Red.*

Wschód, postępuje inaczej. Zakłada przedsiębiorstwo stałe, którego nie porzuci. Kramik ustępuje miejsca fabryce. Skutki tego muszą być zgoła odmienne. I zaiste, weźmy dla przykładu taki Dolgeville w Stanach Zjednoczonych. W ustroniu leśnem, zdala od ognisk życia nowoczesnego, istniała osada Brockett's Bridge, złożona z 300 zaledwie głów, biedna materyalnie, zaniedbana umysłowo. Zjawia się tutaj 1872 r. przedstawiciel „maszyny,“ fabrykant Dolge, buduje swoje zakłady i puszcza je w ruch. Dzisiaj jest to miasteczko, liczące parę tysięcy mieszkańców. W pośrodku widzimy klub robotniczy, z salami gimnastyki, teatralną, bilardową, wreszcie z ładną biblioteką. Nieco dalej rozpostarł się ogromny park. Między innemi mamy tu rodzaj wyższej szkoły, zatytułowanej szumnie „Akademią.“ Że „maszyna“ wniosła do zapadłej osady coś dodatniego, można sądzić z faktu, iż mieszkańcy w zaprzeszłym roku podali prośbę do władz odpowiednich, aby przemianowano dawny Brockett's Bridge na miasto Dolge'a, Dolgeville. Albo weźmy inną miejscowość i w innej zgoła części globu ziemskiego: Thaon, o której nie umiem nawet powiedzieć z pewnością, czy znajduje się w Belgii, czy Francyi. W roku 1872 była to równie nieznana nikomu osada, prawdopodobnie nie w lepszym stanie od poprzedniego wzorku amerykańskiego *). W tym roku komuś przyszła myśl do głowy wybudowania tutaj drukarni tkanin i bielarni. Dzisiaj samych robotników w zakładzie pracuje 1246, ludność zaś cała wynosi z górą 3,000 głów. Wszystkie niemal domy powstały z pobudki fabrykanta. W pośrodku osady widnieje miejska pralnia, gdzie każda gospodyni obowiązana jest udawać się ze swoją bielizną. Na wystawie paryskiej widzieliśmy wzór podobnego zakładu; nie wiemy, jak wygląda on w Thaonie, sądzimy jednak, że jeżeli nie dorósł jeszcze do takiej skali, może to wszakże uczynić w przyszłości. Gdzie z 3,000 głów pierze się bieliznę, motory parowe są zupełnie na miejscu. Można tam dziennie wyprać, wysuszyć i wyprasować do 5,000 kilogramów bielizny (tj. około 10,000 koszul). Siła parowa porusza wyżymaczki i służące do tego samego maszyny odśrodkowe; ona też nadaje ruch maglom oraz przyrządom do prasowania w kadziach, w których moknie bielizna. Suszarnia jest przewiewana ogrzewanem powietrzem, to zaś ostatnie utrzymywane w odpowiedniej suchości dzięki systemowi wentylatorów. Prasy hydrauliczne służą do składania bielizny. Gdyby tak było w Thaonie, chociażby na wielce zmniejszoną skalę, ten odłamek szkieletu społecznego dawałby poważną wskazówkę do innych zmian wywołanych. Cokolwiek jednak dałoby się powiedzieć w tym względzie, rzecz pewna, że samo istnienie jedynej pralni pociągnąć musiało niejakie przekształcenie w dotychczasowym trybie życia domowego. Idźmy jednak dalej. W osadzie istnieje ochronka, gdzie pracujące matki prowadzą drobną dziatwę, aby nie przeszkadzała im i zostawała pod nadzorem, kiedy one udadzą się do pracy zarobkowej pozadomowej. Nasze dane statystyczne mówią, że 352 dzieci znajduje tu tego rodzaju przytułek. Szkoła początkowa niższa daje naukę 592, wyższa 85 dzieciom. Robotnicy posiadają bibliotekę, kasę wzajemnej pomocy, emerytalną, kursy rysunku i rzemiosł, stowarzyszenia spożywcze, wreszcie zabawy w rodzaju fanfary i chórów. I wszystko to wywiązało się w okresie 16 lat i na tle życia fabrycznego... Jeszcze lepszego dowodu dostarcza familisterya w Guise. Otóż, jeżeli będziemy rozpatrywali całość od frontu „pałacu pracy,“ oku naszemu przedstawi się następujący obraz. Przed nami wznosi się olbrzymi gmach czteropiętrowy, złożony z trzech budynków, każdy w postaci czworoboku, przedstawiającego wewnątrz oszklone z góry podwórze, połączonych w jedną całość krawędziami, tak, że widzimy dwa skrzydła wychodzące z głównego tułowia. Opodal na prawo podobnie olbrzymi, lecz już pojedynczy czteropiętrowy gmach, liczący z frontu 19 okien, z boków 14. Na lewo znajduje się trzeci, mniejszy budynek. Są to domy, w których zamieszkała ludność zakładu, wynosząca 1748 głów. Naturalnie takie urządzenie mieszkań pozwala na wprowadzenie gazu, wodociągów, zlewów itd. 20 „zamiataczek“ ma codziennie obmieść i wymyć korytarze, balkony. Wszystkie miejsca więcej uczęszczane, a nawet niektóre pokoje są posypywane na noc proszkiem dezinfekcyjnym. W mieszkaniu niewolno prać; do tej czynności służy oddzielnie stojący budynek: obok znajdują się wanny, parnie i kąpiele siarczane. Ogrody parkowe otaczają zewsząd gmachy. Naprzeciwko głównego budynku wznosi się teatr fabryczny i szkoły początkowe, gmach klubu i gimnastyczny. Ochronka dla dzieci, którą widzieliśmy już w Thaonie, przybrała tutaj szerszą postać— zamieniła się na „niańczarnię“ (wypada nam przeprosić czytelnika za nowy wyraz, lecz gdy powstają w życiu nowe instytucye, muszą powstać i nowe dla nich nazwy). W jednej izbie bierze się niemowlęta od matek, które chcą być wolne na czas roboty; tutaj także przygotowywa się pokarmy i napoje; w drugiej składa się brudną bieliznę, kąpie się niemowlęta itd. Wreszcie wkraczamy do sal właściwych. Dzieci są podzielone według wieku. Jedne w całej grupie uczą się chodzić, inne mniejsze w licznem towarzystwie siedzą w fotelach twarzą do siebie i wykrzykują w swym niemowlęcym języku. Senne kładzie się do pościeli w innej sali. Dzieci odstawione od piersi matka zostawia zwykle na noc, młodsze bierze do domu... Zbytecznem byłoby zapuszczać się w dalsze drobiazgi co do szkół początkowych i średnich, lub do innych urządzeń w rodzaju stowarzyszeń spożywczych, wkraczających nawet w dziedzinę produkcyi, mamy bowiem w Guise i piekarnię współdzielczą, w której stowarzyszeni spożywcy wypiekają chleb dla siebie.

Wzięliśmy trzy wzory, powołane do życia przez fabrykę, a wszystkie wyrosłe na podścielisku zgoła odmiennem: odosobnionego bytowania rodzinnego w ciasnem kole interesów i widnokręgów. Możnaby wprawdzie nam zarzucić, że do przykładów zaliczyliśmy familisteryę z Guise, okaz jedyny w swoim rodzaju. Nie trudno jednak byłoby nam wykazać, że urządzenia w zakładach Godina nie są wcale wyjątkowe, jakkolwiek różnią się od innych pod jednym względem. Mianowicie kiedy takie olbrzymie domy wchodzą w życie w jednem miejscu, pralnie w innem, niańczarnie jeszcze w innem, jako najdogodniejsza i najtańsza forma urządzenia i przytem pod wpływem nieświadomie odczutych i pojętych wskazówek życia, w Guise zostały one wcielone zbiorowo i świadomie na podstawie pewnego ideału społecznego. Mniejsza jednak o to; gotowi jesteśmy wykreślić familisteryę z liczby okazów i przedstawić natomiast urządzenia, które powstały np. w kopalniach Chanzy. Zarobek znajduje tutaj 5,182 osób. Opuszczamy, co zrobił sam zakład i zwracamy się do instytucyj wytworzonych i utrzymywanych samodzielnie przez najmitów. A więc mamy z kolei „Związek Sportu,“ do którego wchodzą to-

*) Moje notatki wyglądają w tem miejscu nieco niewyraźnie. Być może, że gdzie obecny Thaon, przed laty 16 była wprost pusta przestrzeń. Jest to prawdopodobniejsze od przypuszczenia w tekście.

---

na początku bieżącego stulecia było przedewszystkiem *dziełem ducha* i uświadomiliśmy sobie, że duch Francyi 1870 roku nosił głęboką ranę, którą należało opatrzeć, zagoić, wyleczyć. I nietylko my jedni w szlachetnej naiwności młodzieńczego wieku pojmowaliśmy, że w ówczesnem przesileniu moralnem, jak to bywa zresztą zawsze, zawiera się powszechne przesilenie kraju; o wiele starszy od nas, Aleksander Dumas, najdzielszy przodownik szeregów, w 1873 roku, w przedmowie do *La Femme de Claude*, powiada, zwracając się do francuza, równego mu wiekiem, jak ja się zwracam do ciebie, mój bracie młodszy ode mnie: „Strzeż się, przechodzisz, ciężką dobę obecnie... Zapłaciłeś drogo, ale nie wszystkie jeszcze odkupione są błędy twojej przeszłości. Nie wolno już być dowcipnisiem, lekkoduchem, rozpustnikiem, szydercą, sceptykiem i bałamutem. Dość tego, przynajmniej na czas jakiś. Bóg, natura, praca, miłość, małżeństwo, dziecię — wszystko to jest poważnem, nader poważnem i wznosi się przed tobą. *Wszystko to musi żyć, albo ty musisz umrzeć.*“

O pokoleniu tem, do którego ja należę, a które piastowało szlachetną nadzieję odbudowania Francyi, nie mogę powiedzieć, że urzeczywistniło ją ono, ani nawet, że dosyć wyłącznie poświęcało się temu zadaniu. To tylko wiem, że pracowało wiele — bardzo wiele. Prawda, niestety, bez metody, ale z nieustającą gorliwością, która mnie wzrusza, gdy rozważam, jak mało uczynili dla niego ludzie, znajdujący się przy władzy, jak bardzo pozostawieni byliśmy samym sobie, doznając od tych, co stali u steru, tylko obojętności, gdyż nigdy nie przyszło im na myśl zachęcić nas, pomódz nam, pokierować nami.

O, mężna klaso średnia, wytrwałe i dzielne mieszczaństwo, jakie dotyczas posiada Francya! Ileż to ono przez dwadzieścia ostatnich lat dostarczyło pracowitych urzędników, zręcznych i gorliwych dyplomatów, znakomitych profesorów, nieskazitelnych artystów. Niekiedy słyszę, jak powiadają: „Co za żywotność tkwi w tym kraju! On nie ustaje w pochodzie tam, gdzie inny ległby, rażony śmiercią...“ Tak jest! Jeżeli idzie on w istocie naprzód w ciągu tych ostatnich lat dwudziestu, to przedewszystkiem dzięki dobrej woli tego młodego mieszczaństwa, które zgodziło się na wszystko, byle tylko służyć krajowi. Widziało ono jednodniowych panów, skazujących na wygnanie w imię wolności najdroższe jego wierzenia; widziało polityków przypadkowych, igrających głosowaniem powszechnem, niby narzędziem władzy, i wynoszących swoją mierność, pełną fałszu, na najwyższe stanowiska. Poddało się głosowaniu powszechnemu, przyjęło tę najpotworniejszą i najniesprawiedliwszą z tyranij, gdyż siła liczby jest najbrutalniejszą ze wszystkich sił, nie ma bowiem za sobą ani odwagi, ani talentu. Młode mieszczaństwo poddało się wszystkiemu, zgodziło się na wszystko, aby mieć tylko prawo do podjęcia niezbędnej pracy. Jeżeli żołnierze nasi służą wiernie, jeżeli obce mocarstwa mają dla nas szacunek, jeżeli nasze wykształcenie publiczne rozwija się, jeżeli nasze sztuki i nasza literatura nie przestają stwierdzać geniuszu narodowego — zawdzięczamy to naszemu mieszczaństwu. Nie osiągnęło wprawdzie zwycięstwa w czynie owo pokolenie młodych wojowników — to prawda! Nie potrafiło ono nadać rządowi skończonej formy, nie umiało rozwiązać groźnych zagadnień polityki zewnętrznej i socyalizmu. Jednakże młodzieńcze z 1889-go roku, nie pogardzaj niem. Umiej oddać sprawiedliwość twoim starszym poprzednikom. Dzięki im Francya żyła.

Jak żyć będzie ona dzięki tobie — oto pytanie, które dręczy w obecnej chwili wszystkich tych starszych, co zachowali wiarę w podźwignięcie kraju. Czyś gotów umieć żyć? Gdy spoglądasz na Łuk Tryumfalny, gdy przypomnisz sobie Epopeę Wielkiej Armii, czy nie żałujesz, że we włosach twoich niema bohaterskiego tchnienia nowobrańców ówczesnych? Gdy przypominasz sobie rok 1830 i sławne walki ro-

warzystwa strzeleckie złożone ze 100—150, gimnastyczne z 40—80, fechtunkowe z 40—50, bokserskie z 40—50 i wreszcie muzykalno-strzeleckie z 20 członków czynnych. Bank związkowy kooperacyjny dla usunięcia lichwy z pośród miejscowych najmitów i wydawania drobnych pożyczek, złożony znowu z robotników. Stowarzyszenia młodych ludzi w liczbie czterech (przeszło 300 członków). Związek amatorski artystyczno-dramatyczny „Radość.“ Drobne towarzystwo przyrodnicze, Fizyofila, 25 członków... A podobnych okazów moglibyśmy jeszcze dostarczyć jeden i drugi dziesiątek z materyału leżącego pod ręku. Naturalnie wzięliśmy wyjawy jaskrawsze, ponieważ lepiej przedstawiają dążności właściwe. Widzimy we wszystkich tych wypadkach (chociaż jeszcze niejasno), że maszyna, jeśli niesie z sobą rozkład w społeczeństwie, jednocześnie pcha je ku nowej organizacyi na innych zasadach. Pralnia ogólna jest tworem zgoła odmiennej natury od pralni rodzinnej; „niańczarnie“ od dotychczasowego pielęgnowania domowego, towarzystwa współdzielczo-spożywcze, które posiadają własną produkcyę chleba, od kupowania w drobnych kramikach. Dla uniknięcia nieporozumień dodamy, że udział „maszyny“ w wytwarzaniu tego nowego porządku rzeczy przedstawia się w sposób następujący: Stargano dawne urządzenia i postawiono człowieka w nowych warunkach. Rozprzężenie daje mu się mocno uczuć, i oto szuka on nieświadomie nowych form, odpowiedniejszych otoczeniu, a usuwających skutki rozkładu. Możnaby jeszcze zarzucić, że wybrałem przykłady, gdzie z silną pobudką występuje pracodawca jak w Thaonie lub Dolgeville'u. Uczyniłem to z rozmysłem i właśnie sprobuję potem dowieść, jak sam przedsiębiorca w życie wciela odmienne od dotychczasowych instytucye. Naturalnie zwykle to czyni z interesu, lecz tem lepiej, po pierwsze niema nic społecznie plugawego i szkodliwego nad filantropię klasową, powtóre wskazane urządzenia byłyby w tym razie nie czynem jednostkowej dowolności. Weźmy np. zakład w Hasard (Belgia). Rozszerzony nagle dzięki przebiciu tunelu i położony w ustroniu, napróżno usiłował sprowadzić robotników. Wybudował chaty, lecz najmici nie chcieli tu zamieszkać, trzeba byłoby bowiem z daleka sprowadzać sprzęty i przytem środki spożywcze były w miejscowości nader drogie. Wtedy zarząd wzniósł olbrzymi hotel, „hôtel Louise,“ dla 200 osób, zawierający prócz mieszkań kawiarnię, „obiadownię“ (znowu wypada nam ukuć nowe słowo), piekarnię, wanny i pralnię, magazyn z ubiorem i środkami spożywczymi, bibliotekę. Za 1 1/5 franków dziennie robotnik otrzymuje mieszkanie z opałem i oświetleniem, całodzienne pożywienie i wypranie odzieży do pracy. Było to jedyne wyjście dla zakładu, który nie marzy o żadnych zyskach z hotelu, choć rzecz naturalna, że wynagrodzi siebie w inny sposób — z „wartości dodatkowej.“ Mniejsza zresztą o to; rzecz główna, że mamy tutaj wcieloną instytucyę, która gdyby się rozszerzyła, byłaby stanowczem zaprzeczeniem obecnego trybu życia społecznego...

Słowem, fabryka stwarza nowe życie dokoła siebie — na gruzach dawnego. Różne skutki tego, doniośléjsze od przytoczonych, obejrzymy w dalszym ciągu. Tutaj natomiast zwrócimy uwagę na coś innego, a raczej podzielimy się pewnem wrażeniem. Sentymentalny turysta sarka na koleje żelazne, że pozbawiły go widoku, którego doznawał, kiedy podróżował pieszo lub wózkiem. Co do mnie, nie narzekam na nie; kolej przenosząc szybko podróżnika, pozwala mu lepiej objąć całokształt, który inaczej rozproszyłby się w szczegółach. Wypadło mi właśnie widzieć z okna kolejowego obszary fabryczne: szląski, westfalski i belgijski. Obraz bezustannych kominów i gór popiołu na przestrzeni kilku godzin jazdy, osad robotniczych szczególnej struktury, ludzi pracujących w ogromnem połączeniu wywarł silne wrażenie. Niepodobna było pozbyć się myśli, iż jest to retorta, która pracuje nad wywróceniem wszelkiego innego, nie zbiorowego na wielką skalę gospodarowania. Sprzeczność w wyglądzie okręgu fabrycznego a sąsiednich rolniczych równin Hanoweru lub Francyi, widziana z kolei, dochodziła do krańcowego wyrazu; oba światy wyglądały na nieprzejednanych wrogów pod każdym względem. I prawdę, że aby pojąć tegoczesną falę społeczną, należy spojrzeć na nią przez szkło fabryki, zrozumiałem dopiero wtedy w całej pełni, kiedy po raz pierwszy ujrzałem obszar fabryczny szląski. Ten świat, tak odmienny z zewnątrz, z konieczności musi wyłaniać nowe a odrębne pożądania i idee, stosunki i urządzenia...

*K. R. Żywicki.*

---

## SALE ZAROBKOWE

**(im. Staszyca).**

---

Chwile powrotu do zdrowia, t. z. „rekonwalescencya,“ z których ludzie klas uprzywilejowanych umieją wyciskać rozkosz, dla najmity stanowią zwykle ostre, brutalne przejście od łóżka szpitalnego do warsztatu. Nieznane mu jest słodkie uczucie stopniowego odzyskiwania sił, pieszczotliwa opieka dobrobytu „dziedzicznego“: ten sam organizm, który niedawno jeszcze trawiła ciężka i uporczywa choroba, wrócony zaledwie życiu, musi być natychmiast wprzężony do taczki wysiłków. Potem — recedywa... A miejsca pozajmowane przez towarzyszy zawodowych u warsztatu pracy, a nękające, może nieuwieńczone na razie skutkiem, poszukiwanie pracy? W podobny sposób, jeśli nie w takich samych wyrazach, myślał i czuł długie lata nasz szlachetny zwolennik Rousseau'a i na swem dobrze płatnem stanowisku urzędnika ministeryalnego ciułał grosz, żeby drugie albo trzecie pokolenie jego rodaków mogło przygotować plaster łagodzący, zwany „domem zarobkowym.“ Ciepły promień, dobiegający naszych nizin — dawno zagasłej gwiazdy!..

Promień ten jednakże, zrodzony w sercu Staszyca, urósł z czasem do 45,900 rs. i pozwolił za rogatką Wolską wnieść (kosztem 25,059 rs.) dwupiętrowy z suterenami gmach. Jest to budynek mający wzdłuż 52, wszerz 24 i wzwyż 24 z 13 calami łokcie. Sklepione sutereny mieszczą łazienki, pralnię, magle i składy, parter dwie sale (każda 27 3/4 łokci długa, 10 3/8 szeroka i 7 1/4 wysoka) przeznaczone na warsztaty, pokój dla ich kierownika i gabinety ustępowe. Dwie sale takich samych rozmiarów na pierwszem piętrze stanowią sypialnie i jadalnie, obok pokój dla dozorcy. Drugie piętro zajmują trzy oddzielne lokale dla oficyalistów zakładu. Gazowe oświetlenie i wentylacya. Stary frontowy budynek obejmuje pomieszczenia dla kobiet, kancelaryę itp. Warunkiem przyjęcia do „sal zarobkowych“ jest złożenie zaświadczenia policyjnego o wypisaniu ze szpitala i świadectwo lekarskie, że rekonwalescent nie podlega „żadnej chorobie nieuleczalnej lub peryodycznie wracającej,“ jak np. konwulsye itp. Każdy z przyjętych staje się pensyonarzem zakładu i jako taki otrzymuje łóżko żelazne z całkowitą pościelą, szafki zamykane

---

mantyzmu, czyż nie doznajesz tęsknoty, że nie posiadasz, jak owi z czasów *Hernaniego* wielkiego sztandaru literackiego do obrony? Czy uczuwasz utrudzenie, spotykając jednego z mistrzów dzisiejszych, Dumasa, Taina, Leconte de Lisle'a na myśl, że masz przed sobą jednego z tych, w których rasa łacińska złożyła skarby swojego geniuszu. Gdy czytasz książki, w których zmuszeni jesteśmy malować grzeszne namiętności i męczarnie, czy pragniesz kochać lepiej, niż kochali autorowie tych książek? Masz-li ideał, mój bracie, wyższy ideał, niż nasz, masz-li wiarę, głębszą od naszej, nadzieję, gorętszą, niż my? Jeżeli *tak*, podaj mi rękę i pozwól, że ci rzeknę: dziękuję. Jeżeli *nie?*

Jeżeli *nie?..* Dwa typy postrzegam śród młodzieży doby obecnej, dwa typy, które są dla ciebie dwiema formami pokusy, jednakowo groźnemi i zgubnemi. Jeden jest cyniczny i świadomie jowialny. W dwudziestym roku zrobił on już obrachunek życia i religią jego zawiera się w jednem słowie: używać—które tłomaczy się przez inne: mieć powodzenie. Czy będzie uprawiał politykę czy interesy, literaturę czy sztukę, sport czy przemysł, czy jest oficerem, dyplomatą, czy adwokatem—siebie samego tylko ma za boga, za zasadę, za cel. Z filozofii przyrodniczej swojego czasu zapożyczył on wielką zasadę współzawodnictwa życiowego i w swojej gonitwie za szczęściem stosuje ją z zapałem pozytywizmu, który czyni zeń niejako cywilizowanego barbarzyńcę, ów najniebezpieczniejszy z gatunków. Alfons Daudet, który przedziwnie potrafił dojrzeć go i określić, ochrzcił tego współczesnego nam młodzieńca mianem: *struggle-ferlifer*, a on sam nazywa siebie „Końcem wieku.“ Uwielbia jedynie powodzenie, a w powodzeniu—pieniądz. Przekonany jest, czytając te oto słowa—bo czyta je, jak czyta wszystko, tylko aby być na poziomie chwili,—że drwię z publiczności, malując ten portret i że sam jestem do niego podobnym. Gdyż jest on tak głębokim nihilistą w swoim rodzaju, że ideał wydaje mu się komedyą u wszystkich, jak byłby nią u niego, jak jest nią u niego wówczas, gdy uważa za właściwe okłamywać lud dla uzyskania jego głosów. Ten młody człowiek jest potworem—nieprawdaż? Albowiem jest potworem, kto w dwudziestym piątym roku życia posiada zamiast duszy maszynę do liczenia na usłudze maszyny do używania.

Jednakże mniej się lękam dla Ciebie tego wzoru, aniżeli drugiego, który posiada wszystkie arystokratyczne właściwości nerwów i zmysłu, który jest wyrafinowanym epikurejczykiem umysłowym, jak tamten jest brutalnem epikurejczykiem zmysłowym. O, jakżeż strasznie napotkać takiego delikatnego nihilistę a iluż jest dzisiaj takich! W dwudziestym piątym roku życia obiegł on koło wszelkich idej. Jego zmysł krytyczny, przedwcześnie rozbudzony, pojął ostatnie wyniki najsubtelniejszych systemów filozoficznych swojego wieku. Nie mów mu o bezbożności lub o materyalizmie. On wie, że słowo „materyja„ nie ma ścisłego znaczenia, a z drugiej strony jest zbyt rozumnym, aby nie sądził, iż wszystkie religie mogły być dobre w swoim czasie. Tylko że on sam nigdy w żadną nie wierzył i nigdy wierzyć nie będzie, podobnie jak nie wierzy w nic, chyba jedynie w zajmującą grę swego umysłu, który uczynił narzędziem eleganckiej przewrotności. Dobro i zło, piękno i brzydota, występki i cnota—są dlań tylko przedmiotami prostej ciekawości. Dusza ludzka wydaje mu się jedynie uczonym mechanizmem, którego rozkład stanowi dlań zajmujący przedmiot badania. Nic nie jest dla niego prawdziwem i niefałszywem, niemoralnem, nie-niemoralnem. Jest on subtelnym i wyrachowanym egoistą, którego cała ambicya, jak to powiedział znakomity analityk Barrés, w swoim pięknym romansie *l'Homme libre*—w tem arcydziele ironii, w którem brak tylko konkluzyi,—zawiera się w „uwielbieniu mojego ja,“ dla którego poszukuje coraz nowych wrażeń. Życie religijne ludzkości jest dlań tylko materyałem tych

z wieszakami i półkami, taborety, dwa garnitury ubrania (letnie i zimowe) oraz bieliznę; następnie posiłek trzy razy dziennie, opiekę i poradę lekarską, kąpiele i instrukcye fachowe. Za to wszystko zakład będzie pobierał 20 kop. dziennie. Każdy pensyonarz przy wstąpieniu otrzyma książeczkę ze spisem rzeczy udzielonych mu do użytkowania oraz z odnośnemi rubrykami do kontrolowania zarobków. W chwili opuszczenia zakładu pensyonarz zwróci zarządowi rzeczy i narzędzia wyszczególnione w książeczce a w zamian otrzyma pieniądze za roboty wykonane, z potrąceniem należności za pobyt. Sale zarobkowe pomieścić będą mogły na raz tylko 60 osób w obu oddziałach, męzkim i kobiecym, po 30 osób w każdym. Otwarte zostaną do użytku prawdopodobnie w marcu roku przyszłego i na początek, przez trzy lata, działalność ich będzie próbna. Komitet do ich urządzenia złożony przeważnie z przemysłowców (pp. Ludwika Szwedego, Karola Szlenkiera, Handtkiego, senatora Nowakowskiego, budowniczego miasta, Adama Nowickiego, d-ra Zalewskiego i Juszczyka pod przewodnictwem gen. Oktawiusza Radoszkowskiego) postanowił tymczasowo zaprowadzić warsztaty: krawiecki, kuśnierski, rękawiczniczy, szewcki, introligatorski, ślusarski, blacharski i fabrykacyę zabawek dziecinnych. W oddziale zaś kobiecym: naprawa bielizny, krawiectwo damskie w połączeniu z wyrobem czepków i kapeluszy, kwiaciarstwo, hafciarstwo, koszykarstwo i pranie.

Powodzenie zakładu będzie zależeć od zręczności kierowników: od mniej lub więcej ułatwionego zbytu dla wyrobów pensyonarzy. Pod tym, jak i pod innym względem, należałoby rozejrzeć się w tego rodzaju instytucyach filantropijnych za granicą, doświadczeńszą od nas, i przyszczepić u siebie co godnego zastosowania.

*Zyg. Atanazy.*

## NIEPOŻĄDANE REZULTATY.

Kiedy zapowiedziano zjazd farmaceutów w Petersburgu, z ciekawością oczekiwaliśmy wyniku narad, sądząc, że nareszcie zapadną postanowienia uwzględniające interesy publiczności i położenie pracowników aptekarskich. Niestety, po skwapliwem przejrzeniu szeregu kwestyj rozstrzygniętych, przekonaliśmy się, że całą dążnością zjazdu było możliwie najszersze zmonopolizowanie przedsiębiorstwa aptecznego przez prowizorów-kapitalistów. Bo jakże inaczej być mogło, skoro ci tylko ostatni stanowili reprezentacyę zjazdu! Rozpatrzmy bardziej znamiennie szczegóły. Przedewszystkiem sporo czasu zabrały rozprawy nad zmianą nazw stopni naukowych (nadal będą: nie prowizor lecz *doktór* farmacyi, następnie kandydat, praktyk farmacyi i t. d.). Do najważniejszych wniosków należy życzenie, aby wszystkie apteki były „normalne“ i żeby przywilej utrzymywania ich należał wyłącznie do prowizorów. Jak wiadomo, obecnie na prowincyi istnieje mnóstwo aptek filialnych, których urządzenie nie wymaga wielkiego kosztu, gospodarzami zaś ich są pomocnicy prowizorów. Otóż według postanowienia zjazdu wszystkie te apteki powinny być zamknięte, a natomiast muszą powstać kosztowne wielkie. Jeszcze ciekawsze są poglądy przedstawicieli zjazdu na t. zw. apteki ziemskie, które są zaopatrywane w materyały wprost ze składów aptecznych po cenach względnie nizkich. Zarząd należy do lekarzy ziemskich, ludność zaś otrzymuje lekarstwa bezpłatnie lub bardzo tanio. Jest to niezmierna ulga dla ubogich mas, ale wielka niewygoda dla farmaceutów-kapitalistów. Stąd wynika następujące twierdzenie zjazdu: „wo wszystkich istniejących obecnie aptekach ziemskich, szpitalnych, miejskich i t. d. zarządzanych przez felczerów pod kontrolą lekarzy, ze względu na doświadczoną szkodliwość takiego stanu rzeczy dla ogółu, pożądanem jest, aby apteki rzeczone przeszły w ręce wyłącznie farmaceutów.“ Ta *dowiedziona szkodliwość* jest tylko gołosłownem usprawiedliwieniem zanadto śmiałych dążeń monopolistycznych prowizorów-przedsiębiorców. Dotychczas, o ile wiemy, nie było jeszcze wypadku, aby apteki zarządzane przez felczerów pod kierunkiem lekarzy przynosiły szkodę publiczności. Rozpatrując długi szereg innych spraw, mających na celu interesy farmaceutów, właścicieli aptek, zjazd pozostawił na ostatnim planie uczniów aptekarskich. Tylko przedstawiciele Towarzystwa fermaceutycznego w Kijowie zakołatali o podniesienie poziomu wykształcenia teoretycznego i praktycznego farmaceutów; wytknęli jednak zbyt kolistą drogę, która nie do prowadzi do celu pożądanego. Według tego wniosku kandydaci na farmaceutów powinni skończyć całkowity kurs gimnazyów klasycznych lub szkół realnych ze złożeniem egzaminu z łaciny w zakresie czterech klas gimnazyalnych. Praktyczna nauka przy aptekach powinna trwać dwa lata dla uczniów tudzież pomocników, z tym wszakże warunkiem, aby uczniowie przed egzaminem na stopień pomocnika aptekarskiego przeszli półroczny kurs przygotowawczy w uniwersytecie; zaś pomocnicy powinni nadto trzy lata słuchać wykładów teoretycznych. Tak więc dla zdobycia stopnia prowizora po skończeniu szkół trzeba będzie jeszcze użyć siedem i pół lat w razie najprzyjaźniejszych warunków. Czy się znajdą ochotnicy do farmacyi z patentami szkolnymi? Dotychczas największy zastęp uczniów aptekarskich dostarczają najbiedniejsze masy, nieposiadające środków dla dalszego kształcenia młodzieży w szkołach i uniwersytetach. Któż więc będzie tak odważny, aby po zdobyciu patentu ze szkoły nie wzdrygnąć się przed obrazem niewolnictwa aptekarskiego? Dwa dni wolne w ciągu miesiąca, reszta czasu w wiecznem zaparciu między czterema ścianami, zakaz wychodzenia z apteki nawet na jedną godzinę (czasem tylko w drodze łaski gospodarza przywilejem tym niektórzy się cieszą), oderwanie od ludzi, surowy zakaz czytania książek niespecyalnych, brak powietrza świeżego—oto życie ucznia w aptece, a jego przyszłość w razie ubóstwa—zaprzedanie się zwierzchnikowi, wieczna odpowiedzialność aż do starszego zniedołężnienia. Rezultaty zastosowania w praktyce powyższego projektu łatwo przewidzieć: minimum ochotników do zawodu aptekarskiego, znaczne uszczuplenie liczby wykształconych farmaceutów, wzmocnienie monopolu starych aptekarzy. Tym czasem dane statystyczne wykazują, iż z rokiem każdym wzrasta wszędzie zapotrzebowanie środków leczniczych, a więc pożądanym byłby stosunkowy wzrost pracowników aptekarskich o wyższym poziomie wykształcenia teoretyczno-praktycznego. Szczególna rzecz, iż przedstawiciele kijowskiego Towarzystwa farmaceutycznego przy opracowaniu swego projektu nie wzięli za punkt wyjścia Dorpatu, gdzie młodzi ludzie z patentami dojrzałości kończą teoretyczne (na uniwersytecie) i praktyczne wykształcenie nie w ciągu siedmiu i pół, lecz czterech lat i są pożytecznymi pracownikami w swym zawodzie. Warto, ażeby na przyszłym zjeździe (za trzy lata) zwrócono baczniejszą uwagę na tę ważną sprawę.

*Zen. P.*

---

wrażeń i zarówno jak jej życie umysłowe i uczuciowe. Jego zepsucie jest bardziej głębokiem, niżli zepsucie owego dzikiego sybaryty, którego odmalowaliśmy wyżej; jest ono bardziej złożonem, niż tamto, a piękne miano dyletantyzmu, jakiem się okrywa, osłania zimne okrucieństwo i przerażającą oschłość. Ach! my za dobrze znamy tego młodzieńca; myśmy niemal wszyscy byli takimi, my, których czarowały paradoksy mistrzów nazbyt wymownych; byliśmy wszyscy takimi przez jeden dzień, przez jedną godzinę. I jeżeli napisałem tę książkę, to ażeby ci pokazać, tobie, który jeszcze takim nie jesteś, dziecko dwudziestoletnie, którego dusza dopiero się urabia, że ten egoizm może ukrywać na dnie swojem zbrodnię.

Nie bądź ani jednym, ani drugim z tych dwóch rodzajów młodych ludzi, mój młody bracie! Nie bądź pozytywistą brutalnym, który nadużywa świata zmysłowego, ani wzgardliwym i przedwcześnie zepsutym sofistą, który nadużywa świata umysłowego i uczuciowego. Niechaj ani miłość życia, ani pycha inteligencyi nie uczynią cię cynikiem lub sztukmistrzem idej! W tej epoce zachwianego sumienia i sprzecznych doktryn, przywiąż się, jak do deski zbawienia, do zdania Chrystusa: „należy sądzić drzewo po owocach.“ Istnieje rzeczywistość, o której nie możesz wątpić, gdyż posiadasz ją sam, czujesz ją, widzisz w każdej chwili—jest nią twoja dusza. Pomiędzy ideami, które cię napastują, są takie, co duszę twoją czynią mniej zdolną do miłości, mniej do czynów. Uważaj, że jawnik, że idee te są fałszywemi na jakimś punkcie, chociaż wydają ci się subtelnemi, ponieważ opierają się na wielkich imionach i zdobi je czar pięknych talentów. Podnoś i hoduj w sobie te dwie wielkie cnoty, te dwie siły, poza którymi niema nic prócz hańby w teraźniejszości i śmierci w przeszłości. Miłość i Wolę! Wiedza dzisiejsza, owa szczera i skromna wiedza uznaje, że po za granicami jej badania rozciąga się sfera Niepoznawalnego. Stary Litre, święty Litre, wspaniale mówił o tym oceanie tajemnicy, który uderza o nasze brzegi, który widzimy przed sobą, jawny i rzeczywisty, a dla żeglugi po nim nie posiadamy ani łodzi ani żagli. Tym, którzy mówić ci będą, że za tym oceanem jest tylko pustka, otchłań nocy i śmierci, miej odwagę odpowiadać: „Wy o tem nie wiecie...“ A skoro rozumiesz, skoro czujesz, że masz duszę, pracuj nad tem, aby dusza ta nie zamarła w tobie—przed tobą. Przysięgam ci, moje dziecię, że Francyi potrzeba, abyś tak myślał. Oby więc ta książka była ci w tem pomocną! Nie szukaj w niej, czego tu niema — aluzyj do świeżych wypadków. Plan jej był już gotowy i część jej napisana, kiedy dwie tragedye, jedna — francuska, druga — europejska, zjawiły się, aby zaświadczyć, że jedno wspólne obłąkanie idej i uczuć porusza w chwili obecnej wyżyny i niziny przeznaczeń. Uczyń mi zaszczyt i uwierz, że nie spekulowałem na dramatach, które sprawili i sprawiają cierpienie wielu osób. Moraliści, których zadaniem jest poszukiwanie przyczyn, napotykają niekiedy w życiu analogiczne położenia, które dowodzą trafności ich obserwacyi. Woleliby oni jednak omylić się. O, jakżebym pragnął — że siebie samego wezmę za przykład — ażeby nigdy w życiu rzeczywistem nie istniał okaz podobny mniej lub więcej do nieszczęsnego *Ucznia*, który nadaje tytuł mojej powieści!

Lecz gdyby go nie było, gdyby nie istniał jeszcze, nie powiedziałbym ci tego, com powiedział wyżej, o młody synu mojego kraju, któremu pragnąłbym być przydatnym i którego głęboką miłość chciałbym posiadać — i zasłużyć!..

Tłom. *L. Blumental.*

## LISTY PETERSBURSKIE.

*Petersburg, 12 listopada.*

Gorączkowe, niespokojne życie stolicy wciąż szuka nowych wrażeń. Jeżeli na chwilę nastanie cisza, ludzie wydobywają ze skrytek stare rachunki i zaczynają dowodzić, że są lepsi od wszyskich — i to im sprawia głębokie, moralne zadowolenie.

Jednak mało używaliśmy tej przyjemności, gdyż nie było czasu. Naprzód totalizator w Moskwie zajmował umysły: jedni twierdzili, że jest to rzecz wcale niepożądana, drudzy zaś widzieli w nim przyszły dobrobyt narodu, aż wreszcie tłum, podżegany w swych gorszych instynktach, a rozgoryczony zawodem, który zwykle towarzyszy grom hazardowym, rzucił się na kasę totalizatora — zburzył, zniszczył, stratował.

Leroux i swemi wędrówkami i zgonem nie mało sprawił rozrywki — nagadaliśmy się do woli.

W przerwach gwarzyliśmy o polepszeniu doli obywateli-szlachty, przyczem, jak zwykle przy każdem nowem zjawisku, rodziło się tysiące przypuszczeń: optymiści twierdzili, że obywatele się podźwigną, pesymiści zaś na przekór, że niektórym nawet nowa pożyczka loteryjna nie wiele pomoże, że zbawienie — nie w zewnętrznych zasobach, że życie nad skalę, niechęć do pracy niczem się nie da wynagrodzić.

Teraz gwarzymy o tem, czy p. Bismark zaprzęże do swego rydwanu Turcyę, czy też nie. Przyczem ludzie z humorem dziwią się, że do tak wspaniałego wozu „pokoju" szanowny masztalerz chce doprządz szkapę. Wielka ilość koni rozmaitego gatunku nie zawsze powiększa wartkość kół; bywają rumaki, co je zatrzymują.

Jednakże tego jednego zagadnienia niestarczyłoby. Na szczęście niejaki p. Zinger, bankier-izraelita-polak (nawet katolik) doszedł kiedyś do przekonania, że *zwiczyć* kilkaset rubli nigdy się nie opłaci: nazwą złoczyńcą, opływają i wsadzą do ciupy; założył tedy bank, nabrał sporo pieniążków, przemarnował i — dobrze. Setki tysięcy zobowiązań i kilkanaście tysięcy kapitału: taki jest plon pracy naszego rodaka z czasów Kaźmierza Wielkiego. Jużci siedzi w więzieniu, lecz nie jako rzezimieszek, ale jako p. bankier, z którym się zdarzyło nieszczęście.

Lecz i tych wrażeń za mało. Wymyśliliśmy więc sobie, że ów słynny anglik Jack, co to lubi otwierać niewiasty, przybył do Petersburga, że nawet już trzykroć udowodnił swą bytność krwawemi czynami. Plotka rozeszła się z szybkością kuli działa Kruppa i doszło do tego, że gazety musiały zaprzeczać dziwacznej wieści.

Świat artystyczny spiera się w zdaniach z powodu nadchodzącego jubileuszu A. Rubinsteina. Jedni dowodzą, że jest to twórca muzyki w Rosyi, kolos, cud. Drudzy zaś mówią, że jest to dobry grajek na fortepianie i nic więcej. Kto ma słuszność — nie wiem, bo muszę wyznać, że nie znam się na mądrej muzyce. Ot jeżeli p. Figner (tenor opery) zanuci, jeżeli zapłacze wiolonczela według wskazówki Berlioza lub zaśmieją się skrzypce podług taktu Szopena — jakoś tam człek zaduma się...

Ot o czem rozprawiamy w długie jesienne wieczory, ma się rozumieć, gdy nie gramy w *winta* — a gramy z coraz mniejszym zapałem — szkoda; gdy brakuje owej szlachetnej rozrywki, chcąc nie chcąc musisz myśleć. Myśli zaś nie zawsze są błękitne, tembardziej jesienne. Zresztą zbyt smucić się nie warto: wkrótce zaczną się rozmaite dobroczynne i złoczynne bale: galopady i mazury spłoszą rozmyślania... Oby to tylko się prędzej i podziałało skuteczniej.

Na zakończenie pozwalam sobie uprzedzić p. Redaktora *Prawdy*, że miecz Damoklesa zawisł nad jego głową. Pewna poważna pani W. po powrocie z zagranicy raczyła obwieścić, jakoby hr. Tyszkiewicz zakomunikował jej niemylną wiadomość, że tygodnik *Prawda* nie jest niezależnym, więc wszystko pisze według wskazówek: własnego przekonania niema.

Pp. stańczycy, oportuniści i szanowni potomkowie Radziejowskich— rozumiem was! Gdy nie można zwalczyć na gruncie słuszności i przekonań — jeszcze można pokusić się o zwalczenie podstępem: Boże dopomóż!

*N. B.*

## TYTUS CHAŁUBIŃSKI *)

(Jako profesor i lekarz).

### I.

Utworzenie wydziału lekarskiego w b. Szkole Głównej odpowiadało najpilniejszym potrzebom chwili. Kraj był rodzajem zajazdu, w którym można było spotkać lekarzy najrozmaitszych szkół, często widzących w praktyce jedynie źródło zarobku. Zaledwie najbogatsi mogli mieć doktora w czasie choroby, szczególniej w miejscach bardziej oddalonych od miast większych. Wobec tego powołanie profesora kliniki chorób wewnętrznych było zaszczytnem i bardzo ważnem. Klinika ta — to właściwa szkoła leczenia — najtrudniejszego ze wszystkich działań ludzkich Inne mniejszy wywierają wpływ na przyszłą pracę lekarza. Tysiącoletnie usiłowania w celu wykrycia praw stałych, rządzących sprawami życia, dotąd zostały bezskuteczne; stąd wielka trudność stosowania teoryi w praktyce. Lekarz nie może dotąd ze ścisłością mechanika oznaczyć zaburzeń w chorym ustroju i odpowiednio zastosować środków zaradczych lub jak matematyk rozwiązać równania z jedną lub więcej niewiadomych. Może on najdokładniej znać fizyologię i patologię, środki i sposoby, a nie umieć ich zużytkować w danym szczegółowym wypadku. Zdumiewający postęp nauki zbliża nas do tego celu, lecz z powodu zawiłości procesów życia, fizyologicznych i patologicznych, medycyna praktyczna na długo pozostanie sztuką, której uczyć się musimy w klinikach. Ustrój ludzki składa się z mnóstwa mechanizmów i narządów, a życie samo, jako suma ich czynności, jest tylko nową postacią tych samych sił fizycznych i chemicznych, jakie się objawiają we wszechświecie, i nie zależy od innej szczególnej siły. Żadne zjawisko w żywym organizmie, żaden proces nie został wyjaśniony inaczej, jak tylko za pośrednictwem zastosowania praw przyrody. Każda nauka ma swoją metodę, a ponieważ medycyna jest nauką przyrodniczą, więc w swych poszukiwaniach musi się opierać na tejże metodzie i zasadach, co i umiejętności przyrodnicze, mianowicie na ścisłem badaniu empirycznem. Klinicysta ma wskazać uczącym się *metodę* stosowania wiadomości teoretycznych w każdym szczegółowym wypadku choroby, opartą na zasadach ogólnych.

Chałubiński obejmując katedrę, odrazu stanął na wysokości trudnego zadania, a działalność swoją na tem polu zaznaczył największą zasługą. Czerstwość zdrowia, bystrość zmysłów, umysł krytyczny, obejmujący szeroko widnokręgi naukowe, niezrównana spostrzegawczość, pewność i stanowczość sądu, trafność w uchwyceniu głównych i rozstrzygających zjawisk, wszechstronna znajomość człowieka, gorące zamiłowanie prawdy, samodzielność, a przedewszystkiem głęboka wiedza przyrodnicza i olbrzymie doświadczenie—uczyniły go znakomitym przewodnikiem młodzieży, a klinikę jego jedną z najlepszych w Europie. Wykłady odpowiadały jego skłonnościom, poświęcił im się też z wielkim zapałem, tworząc swoją własną metodę pedagogiczną. Głównym jego celem było obudzenie samodzielności w słuchaczach, przyuczenie ich do ścisłego badania, do logicznych wywodów i krytyki zebranych spostrzeżeń przy łóżku chorego. W klinice naszej nie przygotowywano naprzód chorego, mającego być przedmiotem badania, nie rozpoznawano choroby, nie uczonogo, jakie ma dawać odpowiedzi — co widzimy w uniwersytetach francuskich, a w celu obudzenia w słuchaczach podziwu i oklasków dla osoby i wiedzy profesora. Chorego leczył student, uważany tu za młodszego kolegę, a Chałubiński był niejako doradcą, konsultantem, który ucznia prowadził jakoby za rękę z największą cierpliwością i pobłażliwością po najtajniejszych kryjówkach chorego organizmu. Ukazywał mu zerwaną równowagę w czynnościach narządów i najpilniejsze ich potrzeby, objaśniał wzajemną zależność organów między sobą itd.

Sprawdzając hypotezę ucznia, zanim przystąpił do badania organów wewnętrznych pacyenta, oglądał go jak naturalista i zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły, które jednak mogły mieć doniosłe znaczenie w objaśnieniu zaburzeń chorobnych, chwytał drobnostki niedostrzegalne przez mniej wprawnych. Przypominał on starych lekarzy, o których wiemy tylko z podań, że spojrzawszy na chorego, rozpoznawali chorobę, co mogło być prawdą przy rozwiniętym zmyśle spostrzegawczym, zanikającym u nas dzięki udoskonalonym środkom badania. Objawy podmiotowe u chorego rozpoznawano ze starannością i krytycyzmem. Jako badacze, mówił Chałubiński, obowiązani jesteśmy nie pomijać, ani lekceważyć żadnego zjawiska. Przedmiotowy czy podmiotowy objaw ma równe prawo bytu; każdy z nich potrzebuje być zrozumianym, każdy wymaga objaśnienia i nawzajem służyć może do objaśnienia innych. Po najściślejszem zbadaniu chorego przystępowano do utworzenia teoryi danego wypadku. Wynalezienie wszystkich objawów nie może dać jasnego pojęcia o charakterze choroby. Jako myśliciel, Chałubiński wymagał stosowania metody indukcyjnej. Uczeń, znając pewne zjawiska, musiał wykryć zjawisko albo grupę zjawisk warunkujących je i tłomaczących. Zdolny do uogólnień Chałubiński, dla ułatwienia wywodów wprowadził tak zwany *moment* choroby, który oznacza wszelki jej *objaw, zmianę zachodzącą w tkankach ustroju i ich produktach, wszelką przyczynę* i każdą *okoliczność*, odnoszącą się do *charakteru* i *przebiegu* zaburzeń chorobowych. Każdy taki moment w powyższem znaczeniu musiał być ściśle oceniony, zrozumiany i wytłomaczony, tak sam przez się, jak i w stosunku do innych. Momenty podstawowe, pierwszorzędne należało odróżnić od mniej ważnych, ubocznych. Oprócz momentów chorobowych badano wszystkie szczegóły życia w danym wypadku. „Nie dość jest poznać swych nieprzyjaciół, trzeba znać i swoich sprzymierzeńców." Przy chorobach jednych przyrządów można skierować działanie środków na inne — np. w krwotokach płucnych, wywołanych zastojem krwi, działać na kiszki, które tu będą sprzymierzeńcem, jak również zastępować czynności jednych organów czynnościami drugich — np. przy chorobach nerek działać na skórę i kiszki.

Po zebraniu wszystkich momentów chorobnych, po wyczerpującym ich rozbiorze krytycznym, po wykazaniu ich niebezpieczeństwa lub pożyteczności — rozpoznawano chorobę, to jest wynajdywano odpowiedni jej obraz, opisywany w patologii szcze-

*) W poprzednim naszym szkicu nakreśliliśmy ogólnymi rysami umysł i charakter Chałubińskiego. Obecnie jeden z jego uczniów przedstawia nam go na stanowisku lekarza i profesora, na którem zdobył główne swoje wawrzyny. *Red.*

głowej. Podobny sposób rozpoznawania dopiero dziś zaczyna się upowszechniać za granicą. Chałubiński więc znacznie wyprzedził współczesnych klinicystów w naukowem badaniu chorych. Rozpoznanie na takich podstawach oparte prowadziło do wskazań właściwych — do zadania jednego z najtrudniejszych przy łóżku chorego. Wskazania streszczają się w jednem pytaniu — co zrobić dla usunięcia zaburzeń? Różnica między chorym i zdrowym jest wydatną, szczególniej w chorobach ostrych; odróżnić jednak momenty ważniejsze od mniej ważnych nie jest tak łatwo i potrzeba do tego obszernych wiadomości z dziedziny fizyologii i patologii. Podług Chałubińskiego należy z pomiędzy wszystkich momentów wyróżnić *najważniejszy*, najbardziej groźny dla życia i pomyśleć, o ile on się da zmienić lub usunąć, dlaczego należy rozważyć, czy moment ten nie zależy od innego *wyższego* i czy ten znowu nie może być usunięty itd. Usunięcie ostatniego, najwyższego będzie wypełnieniem wskazania, gdyż cała grupa momentów od niego zależnych zostanie zniesioną.

W celu zniesienia jakiegoś momentu należy go uważać za zjawisko. Ponieważ zjawisko w naturze powstaje jedynie w pewnych warunkach, ile razy więc choć jeden z tych warunków zmieniamy lub usuwamy, zjawisko nie przychodzi do skutku lub zostaje zmienionem.

W chorobie każdy moment zależy także od wielu warunków. Jeżeli jesteśmy w możności zmienić lub znieść jeden lub więcej z nich, moment choroby zniknąć lub zmienić się musi. Jest to jedyna droga, po raz pierwszy wskazana przez Chałubińskiego, wiodąca do wynalezienia właściwych wskazań.

Chcąc znosić momenty chorobne, leczący powinien najbaczniejszą zwrócić uwagę na znaczenie ich dla życia i ocenić ściśle, gdzie i do jakiego stopnia są niebezpieczne. Choroba, jak i zdrowie, jest szeregiem zjawisk życiowych. Każdy więc jej objaw jest tylko zmienionym objawem fizyologicznym w zupełności mu odpowiadającym. Stąd wniosek, że *dane* dla usunięcia i wyrównania zaburzeń istnieją w nich samych— np. kaszel będący zmienionym objawem fizyologicznego wydechu jest konieczny dla wydalenia śluzu; biegunka zmienionym objawem ruchu robaczkowego kiszek dla wydalenia drażniących produktów z przewodu pokarmowego itd. W ten sposób objaśnił Chałubiński ową dawną siłę leczącą przyrody, tylekrotnie wyśmiewaną w nowszych czasach. Starzy lekarze utrzymywali, że sztuka powinna iść w kierunku wskazanym przez naturę, że głównie należy podpatrywać przyrodę w jej usiłowaniach do zwalczania choroby i tą drogą postępować. Stąd powstało przysłowie, które wieki przetrwało, że sztuka o tyle jest pożyteczna, o ile pomaga naturze (medicus non magister sed minister naturae). W ustroju istnieją przyrządy i mechanizmy zdolne do wyrównania zaburzeń chorobnych — są to te same, które służą do utrzymania życia prawidłowego, tylko że w chorobie działanie ich raz jest pożyteczne lub obojętne a drugi raz szkodliwe i zabójcze. Czynności ich zwalczać więc należy tylko o tyle, o ile są groźne dla życia.

Taki pogląd jest jedynie racyonalny i wyklucza stosowaną dotąd, bezmyślną metodę leczenia symptomatycznego, które stara się za jaką bądź cenę pokonywać objawy chorobne, przynosząc najczęściej choremu niepowetowaną szkodę.

Chałubiński przypominał zawsze, że nie leczymy chorób, lecz chorych. Zasada ta wynika już z samej metody. Tylko przy tożsamości warunków zachodzi tożsamość zjawisk. Czynności przyrządów organizmu odbywają się podług jednych i tych samych praw u wszystkich ludzi; warunki jednak, w których się odbywają, jak również warunki zewnętrze, wśród których żyjemy, ulegają ciągłej zmianie. Wzajemne oddziaływanie wewnętrznych na zewnętrzne, wytwarza ową nigdy niedającą się wyczerpać różnorodność zaburzeń chorobnych. Główne typy powtarzają się tylko dzięki ogólnym przyrządom i ich czynnościom, jak krążenie, układ nerwowy itd.; każdy jednak wypadek ma swe cechy szczególne; leczenie więc musi być ściśle zastosowane do danego wypadku. Środki użyte muszą być tylko te, które zostały zyskane na drodze doświadczenia w ciągu szeregu wieków, które prawdziwa nauka może objaśniać a nie usuwać. Odpowiedzialność za zdrowie i życie ludzkie powinna działalność lekarza czynić oględną i ostrożną.

(D. n.).

---

## ALOIZY ŻÓŁKOWSKI.

(1814—1889).

Śmierć sięgnęła po największych. Niewątpliwie należał do nich w swojej sztuce i Żółkowski. Nasze społeczeństwo, w porównaniu z zagranicą nieśmiałe, nawet wtedy, kiedy posiada w swem łonie wielkość pierwszorzędną, boi się temu uwierzyć. Tak dalece uznano za naturalną prawidłowość rzeczy, że rodzicami talentów jest tylko zagranica, iż często przeraża nas sama myśl o takiem ojcowstwie. Jednakże chociaż Żółkowski nigdy za rogatkami Warszawy sławy nie szukał, wytworzyło się dość rozpowszechnione mniemanie, że był to artysta skali europejskiej. Dla tych zaś, którzy mieli sposobność zmierzyć go z zagranicznymi, nie ulegało żadnej wątpliwości, że nie ustępował żadnemu i że w swoim rodzaju był unikatem. O ile pamięć żyjących pokoleń sięga, istniał na świecie tylko jeden Żółkowski. Nikogo nie przypominał i nikt go naśladować nie umiał. Można było w teatrach europejskich spotkać wielu Królikowskich i Richterów, wiele Modrzejewskich i Popielówien, ale Żółkowski znajdował się tylko w Warszawie. Aktorzy obcy, przebywający u nas czasowo, przypatrywali się jego grze zdumieni i zachwyceni— nie rozumiejąc języka. Tego rodzaju bowiem stylu i mistrzowstwa scenicznego nie widzieli nigdzie. To też gdyby go posiadała Francya lub Niemcy, napełniłaby swą sławą całą Europę za życia i oparłaby się jej zapomnieniu po śmierci. Pozostałby w tradycyi teatralnej.

I od nas nie odszedł pokrzywdzony. Na ile uwielbień ogół mógł się zdobyć, tyle mu ich okazał. Pięćdziesiąt lat sławy i to sławy ciągłej, niemal codziennej, żadnem przeczeniem niezmąconej — takiej masy wieńców nie zbierze listkami nawet geniusz wiedzy lub sztuki przez wiek cały. Podczas gdy najpotężniejszy ulega krytyce, napaściom i naganom, Żółkowski słyszał tylko oklaski i zachwyty. Nie pamiętamy, od czasu jak przeszedł do komedyi, ażeby mu kiedykolwiek zrobiono jakąś uwagę lub zarzut; gra jego uważana była zawsze za doskonałą, wyższą po nad wszelkie sądy. W kulcie swoim nie miał on odszczepieńców.

Istotnie na to uznanie zasługiwał nietylko wyjątkowym talentem, ale i pracą. Pomysłowość rozległa, zasób środków bogaty, rysy zewnętrzne do wyrazistych zmian podatne — jeżeli więc te przymioty naturalne i wrodzone pomnożyła jeszcze staranność w przygotowaniu każdej roli, to mogły wychodzić twory sceniczne wspaniałe.

Ale śmierć Żółkowskiego nietylko zabiera najznakomitszego aktora; usuwa ona jedną z podwalin teatru i dokonywa przewrotu w jego repertuarze. Dopóki w kasie sprzedawano bilety na występy Żółkowskiego, można było bezpiecznie liczyć na dochód, chociażby znakomity artysta w roli swej miał do wypowiedzenia cedułę giełdową lub przepisy karty pobytu. Teraz, gdy tego magnesu zabrakło, trzeba publiczność ściągać doborem sztuk. Wiele z granych dotąd utrzymywało się i używało rozgłosu jedynie dzięki jemu; gdy on ustąpił, rozpocznie się straszny pomór repertuarowy. Bo zważyć trzeba, że on nadawał racyę bytu na scenie nawet utworom najlichszym, że niektóre pisane były z przeznaczonemi dla niego rolami, że postradawszy go, postradały wszystko prawie, czem publiczność nęcić mogły. A przytem teatr nasz w siłach zubożał: niema już Królikowskiego, Panczykowskiego, Richtera, Modrzejewskiej, Bakałowiczowej, Popielówny; znakomitych artystów pozostało zaledwie paru. Samymi więc popisami aktorskimi istnieć nie może, zwłaszcza gdy zwalił się w nim tak potężny filar, jak Żółkowski. Skutki złomu tej olbrzymiej i niedającej się zastąpić kolumny sięgną tak daleko, że niepodobna przewidzieć całego ich łańcucha. Ale wystąpią one natychmiast: przy pierwszym układzie repertuaru reżyserya spostrzeże, że straciła potężny czynnik, że musi tę szkodę zrównoważyć jakiemiś nowemi usiłowaniami, o których dotąd myśleć nie potrzebowała. Nie będzie to sąd zwrot tymczasowy, bo wspomnienia o znakomitym artyście będą pognębiały wszystkie jego zastępstwa, a drugi Żółkowski nie urodzi się prędko.

Odprowadziły go na wieczny spoczynek tłumy, przejęte szczerym żalem, który wystąpił tem jawniej i silniej, że Warszawa znaczną część swego życia duchowego czerpie z teatru.

Był to talent wielki, był to człowiek do sceny krajowej synowsko przywiązany, oddawszy przeto jego ciało ziemi, zachowajmy imię we wdzięcznej pamięci.

*H.*

---

# LITERATURA I SZTUKA.

## WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI.

### I.

Do wielu właściwości naszego miasta należy też brak muzeów historycznych. Złożyło się na to bardzo wiele przyczyn, o których nie pora mówić w tem miejscu.

Każde większe miasto na Zachodzie lub w środkowej Europie posiada muzeum pamiątek historycznych, nie mówiąc już o zbiorach istniejących przy każdej niemal instytucyi naukowej.

U nas, jak zwykle i jak wszystko, inaczej... Dla pewnego np. muzealnego zbioru obrazów nikt nie postarał się o kilka sal odpowiednich—i obrazy te, zwinięte na wałkach, spoczywają podobno, jeżeli nie gniją, w piwnicy!..

Natomiast pamiątki, świadczące o dziejach naszych i cywilizacyi, rozproszone są po całym świecie. Sporo przechowuje się też u rodzin przewodniczących niegdyś w narodzie, jeżeli nie wyłowiła ich jeszcze szczodrze płacąca ręka obcych handlarzy. Moc wielka musiała być tych zabytków u naszych klas wyższych i oświeconych, wielkie zamiłowanie do sztuk pięknych, blasku i wytworności, jeżeli np. zbiory Czartoryskich posłużyły do założenia w Krakowie jednego z piękniejszych w swoim rodzaju muzeów Europy. Niezawodnie rodzinne i historyczne pamiątki znaczniejszych rodzin naszych złożyć by się mogły na wspaniałe muzeum, niczem nieustępujące pierwszorzędnym niemieckim lub francuskim zbiorom; póki to jednak nie nastąpi

oglądamy cząstkę ich na urządzanych od czasu do czasu wystawach starożytności.

Obecna wystawa sztuki starożytnej a zarazem i nowożytnej, stosowanej do przemysłu, urządzona w gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa, nie jest nowością w Warszawie, która wystawami takiemi, w braku muzeów stałych, zajmuje się chętnie. Nie pamiętamy głośnej wystawy urządzonej w 1856 r. w pałacu Potockich, na Krakowskiem Przedmieściu; znamy ją tylko z odczytywanych później opisów i starannie ułożonego katalogu (1,056 okazów), świadczącego o jej bogactwie i przepychu.

Po długiej przerwie, bo w 1881 r. Muzeum przemysłu i rolnictwa urządziło podobną wystawę w pałacu Brühlowskim, liczącą 1,506 okazów, a Towarzystwo dobroczynności trzy lata temu, skromną, bo zawierającą tylko 612 okazów w hotelu Europejskim.

Obecna wystawa pod względem ilości przedmiotów przewyższa wszystkie poprzednie. Oprócz rodzin, posiadających pamiątki historyczne, nadesłały piękniejsze okazy Cesarski zarząd Łazienek i Zamku warszawskiego, Wilanów oraz skarbce kościołów warszawskich i prowincyonalnych.

Podziw budzą zbiory prywatne braci Strzałeckich, Kolosińskiego, Czapskiego, Gebethnera, Bersohna i innych, gromadzone z umiłowaniem pamiątek przeszłości, usilnością życia całego.

Zdawałoby się komuś, że zakasuje nieraz te skromne muzea, urządzone z pewną myślą i systematem, pan polski, gdy np. na topiseryi flamandzkiej z 1547 r. przedstawi nadanie przez Karola V tytułu książąt rzeszy niemieckiej młodszej linii Radziwiłłów. Nie poniża to jednak bynajmniej wartości owych zbiorów, lecz owszem przynosi zaszczyt ich posiadaczom, którzy rozporządzając małymi funduszami, nieraz kosztem pewnej ofiary ratują od zagłady niejedną historyczną pamiątkę.

Żadna z wystaw poprzednich nie miała tak wspaniałego, jak obecna, pomieszczenia. Muzeum przemysłu przeznaczyło dla niej wielką salę kolumnową, wszystkie komnaty przyboczne i salony drugiego piętra. Wszędzie też spotykamy mnóstwo pięknych, ciekawych i pouczających rzeczy, których wyczerpującemu opisowi chyba tom spory poświęcić by należało. Chętnych zapoznać się szczegółowo z tymi zabytkami naszej i obcej przeszłości odesłać musimy do katalogu, zawierającego przeszło 3,000 numerów. Spis to pobieżny wprawdzie, lecz dość racyonalnie usystematyzował wystawę na następujące działy: 1) starożytności z czasów pogańskich (wykopaliska); 2) numizmatyka, heraldyka, sfragistyka; 3) rękopisy, druki i oprawy książek; 4) sprzęty i naczynia kościelne: 5) ozdoby stroju kobiecego i męzkiego; 6) dawne zbiory, uzbrojenia i narzędzia; 7) sprzęty domowe, porcelana, fajans, zegary, gobeliny, instrumenty muzyczne i ceramika; wreszcie 8) okazy sztuki nowożytnej, stosowanej do przemysłu.

---

## STUDYA BIOGRAFICZNE CARRIERA.

Jest to zjawiskiem zwykłem u autorów starzejących się, że tracą zmysł krytyczny dla płodów własnego pióra i że pragną ocalić dla świata każdy, chociażby najdrobniejszy świstek fejletonowy, który niegdyś napisali. Hołdy, jakie krytyka i publiczność oddaje wielkim, cennym istotnie ich dziełom, wytwarzają w ich duszy ten błędny wniosek, że wartość i wiekopomność jest stałą, nieodłączną cechą ich pióra, i że każda myśl, która przeszła przez mózg, co wielkie wydał płody, jest dla świata pouczającą, ważną i ciekawą. Odkąd Goethe w drugiej części swego „Wilhelma Meistra“ pomieścił wszystkie rękopisy, które przy końcu jego życia nieużyte jeszcze leżały w biurku — postępowanie to (słusznie zganione przez krytykę zagraniczną) stało się wzorem dla poetów i uczonych niemieckich, czujących się blizkimi grobu. Oto leży przed nami nowa książka słynnego autora *Estetyki* i *Sztuki w związku z rozwojem kultury* M. Carriera *). Pod tytułem „Życiorysy“ zebrał on przeważnie wspomnienia swe o współczesnych mu artystach, filozofach i poetach, i te to studya głównie nadają książce pewną wartość.

Na czele jednak znajdujemy rozprawę o Kromwellu. Po wzburzeniu wewnętrznem, jakie wywołał w nim rok 1848, Carriere uzyskał równowagę, zagłębiając się w mowy i listy Kromwella, którego właściwy charakter umysłowy i wielkość stara się teraz uwydatnić. Zaznaczamy, że Carriere nie uwzględnia nowych badań nad Kromwellem, którym w Niemczech zajmowali się poważniej König, Bleibtreu, Ksaris i Harweg, i że daleki od ścisłej metody Taine'a, odtwarza tę postać poniekąd intuicyjnie. Wprost bez wartości jest powierzchowna rozprawka Carriera o „Niemieckich bohaterach ducha w Alzacyi,“ a list jego otwarty do Renana „O wspólnych zadaniach kulturalnych Niemiec i Francyi,“ oparty na przestarzałych nieco poglądach, niema żadnej racyi logicznej w tym zbiorze życiorysów.

Zajmującym i dobrze napisanym jest studyum o Börnem; najcenniejsze jednak są rozprawy odnoszące się do owych wybitnych artystów i literatów, którzy żyjąc w otoczeniu królów bawarskich Ludwika I i Maksa II, stworzyli nową w Monachium erę. Umysł i indywidualność Piotra Korneliusza, jego poglądy estetyczne i stosunek do sztuki współczesnej poznajemy z książki Carriera dokładniej i lepiej, niż z innych źródeł. O „Ostatnich trzydziestu latach Akademi monachijskiej“ nie pisze autor w sposób wyczerpujący, wiele też rzeczy i stosunków wprost domyślać się potrzeba, gdyż traktuje sprawy poniekąd drażliwe. Zawsze jednak zapoznaje nieco czytelnika z walkami, jakie odbywają się w ważnem tem ognisku sztuki.

Łącząc głębokość filozofa z darem popularnego przedstawiania rzeczy, wybornie wywiązał się Carriere z zadania, jakie obrał w wielu innych szkicach. Kreśli on w nich poglądy zasadnicze Hermana Imanuela Fichtego, Hermana Ulriciego, Jana Hubera, Melchiora Meyra, i rzec można, że żaden historyk filozofii nie dorównywa mu w jasności i wyrazistości przedstawienia. Stosunek osobisty do myślicieli tych pozwolił Carrierowi ożywić studya i uczynić je istotnie zajmującemi. To samo powiedzieć można o poświęconych Freiligrathowi i Emanuelowi Geiblowi, z tym dodatkiem, że uczucia przyjaźni dla tych poetów nie skrępowały sądu Carriera o ich utworach.

Znajdujemy jeszcze rozprawkę o Bettinie Arnim, zwanej „Dzieckiem“ i satyrę Carriera „Kto jest autorem Fausta?“, szydzącej z nowoczesnych badań nad autorem dramatów Szekspirowskich. Wprawny czytelnik zoryentuje się łatwo w tym zbiorze szkiców, a skoro przeczyta je z wyborem odpowiednim, znajdzie w Carrierze przewodnika, który ułatwi mu poznanie kilku wybitniejszych postaci zgasłego pokolenia artystów i literatów niemieckich.

*) *Lebensbilder*. Lipsk, Brockhaus, 1890.

*L.*

## Z NIEMIEC.

*23 listopada.*

Osip Szubin i nowa powieść jego „Boris Lensky.“ — Beletrystyka niemiecka a wpływ skandanawczyków. — Nowele Rudolfa Schmidta. — Sensacyjny proces literacki.

Osip Szubin należy dziś do najpoczytniejszych powieściopisarzów niemieckich. Sława jego dosięgła już takiego stopnia, że poważne miesięczniki niemieckie zapoznały publiczność z biografią jego i popiersiem. Wówczas stało się rzeczą powszechnie wiadomą, co wyższe grono literatów wiedziało od pierwszego wystąpienia Szubina — że pod tym pseudonimem ruskim kryje się kobieta młoda, żyjąca w kołach arystokracyi austryackiej. Od pięciu lat zaledwie stanęła ona na arenie literackiej; wykształcona na dziełach powieściopisarzów francuskich i ruskich wystąpiła odrazu jako autorka realistyczna. Ambicyą jej było ukrycie swej płci wobec świata literackiego; istotnie też udało się jej zmistyfikować zrazu redaktora *Deutsche Rundschau*, które to pismo utorowało jej drogę do wpływowej publiczności. Świadczy to bądź co bądź o talencie niemałym, skoro dziewczyna dwudziestoletnia ze swych powieści umiała usunąć tak zręcznie wszystkie wady, właściwe początkującym piórom niewieścim. Wysoce uzdolniona ta kobieta nie rychło zdecydowała się na zawód literacki; zamierzała poświęcić się malarstwu lub muzyce i przez lat parę dzieliła czas pomiędzy te zajęcia. Wykształcenie oka i ucha przydało się jej następnie. Posiada ona w wysokim stopniu umiejętność widzenia, obserwuje przyrodę tak trafnie, jak ulice miasta, warsztat tak, jak salę koncertową. Muzyka odgrywa w powieściach jej rolę ważną, pierwszorzędną niemal. Miała ona wuja, który był typem arystokraty austryackiego: rycerski sportsmen o charakterze miękkim, niestałym. Człowiek ten pozostawił głębokie ślady w jej wyobraźni, w każdym też niemal jej utworze widzimy takiego eleganckiego nikczemnika. Zdaje się, że młoda ta kobieta przykre przebyła doświadczenia i że poznała świat, jakim jest w rzeczywistości. Nastrój utworów jej jest przeważnie smętny, a ból życia występuje wszędzie, jako motyw główny. Szkoda tylko, że autorka, której talent jest prawdziwym i ma cechy kruszcu szlachetnego, zanadto jeszcze ulega wpływowi mistrzów naturalistycznych w wyborze tematów. Najnowsza powieść jej atoli, która pod względem techniki przewyższa dzieła jej poprzednie, mniej też jest skrajną w roztaczaniu szpetoty moralnej. Bohaterem jest skrzypek, a głównym celem przedstawienie psychologii i losu sławnego artysty. Autorka obrała więc bohatera na wskróś nowożytnego. Borys Leński, z pochodzenia rosyanin, człowiek wielce muzykalny, o postaci wyniosłej i twarzy zajmującej, zasłynął jako wirtuoz. Zajęcia nie oderwały go zupełnie od źródeł wykształcenia ogólnego: w wagonie i w hotelu czytuje wszystko, co się pojawia na francuskim rynku literackim. Mając naturę namiętną, a widząc, że człowiekowi sławnemu pozwalają wszystko, puszcza on cugle swym popędom: mówi zawsze, co myśli, w gniewie wybucha gwałtownie. Przytem jednak posiadając serce prawdziwie królewskie, kolosalnymi dochodami swymi obdziela ubogich, nie żądając od nich wdzięczności. „Szatański skrzypek,“ jak go zowią, przez zachowanie się wielbiących go kobiet popchnięty został na drogę donżuaneryi; z przyzwyczajenia niemal stara się o zdobycie wszystkich, które spotyka, a dwa razy tylko w życiu natrafił na opór. Ludzkością, którą poznał jako „publiczność,“ gardzi. Widzimy go w chwili, kiedy stojąc u szczytu swej sławy, wśród wrzawy świetnych towarzystw, wśród hołdów ur czych

kobiet, bez przyjaciela, czuje osamotnienie i znudzenie. W towarzystwie zachowuje się jako genialny: lecz i to go już nie bawi. Wówczas przybywa do Paryża, gdzie po zmarłej uczciwie żonie pozostało mu dwoje dzieci: Mikołaj i Masza. Dzieci te, obecnie dorosłe, odziedziczyły świetne zalety Leńskiego, ale i demoniczne jego popędy. Awantury ich miłosne wypełniają dalszą część powieści. Mikołaj zakochał się w Nicie Sankiewicz, istocie idealnej, pięknej, malarce wysoce uzdolnionej. Atoli Nita, jako podlotek, kochała się w „skrzypku szatańskim," który i ją zdobyć probował, ale daremnie — i zdarzyła się scena ohydna, która na zawsze pokryła jej duszę smutkiem. Kiedy syn Leńskiego oświadcza jej swą miłość, ona odpycha go ze wstrętem. Borys sam wyznać musi synowi, co zaszło, a odtąd przepaść rozwiera się między synem a ojcem. Atoli srożej jeszcze mści na nim krzywdę wyrządzoną innym kobietom własna jego córka, dziewczyna młoda, niewinna, lecz namiętna, która staje się ofiarą arystokraty, austryackiego. Idealna Nita zmusza tego jegomościa do poślubienia Maszy. Masza zrazu jest nieszczęśliwą przy boku męża swego, ale „doszedłszy do rozumu," bierze go pod pantofel. Leński, którego siłę złamały ciosy zadane mu przez dzieci, zakończył karyerę wirtuoza i żyje w zaciszu. Lecz wielki jego majątek niknie wskutek dawnego przyzwyczajenia hojności; a kiedy córka jego, ciągle jeszcze nieuznana przez teściowę, zaczyna cierpieć niedostatek, stary lew wychodzi ze swej nory i znowu staje przed publicznością. I tu zaczyna się piąty akt tragedyi. Publiczność, która go ubóstwiała niedawno, zapomniała o nim. Sława jego przebrzmiała. Z łaski poetki jedno mu tylko pozostało: śmierć piękna. Artysta, głęboko rozdrażniony, umiera na porażenie serca ze skrzypcami w ręku, na estradzie koncertowej, z której zabrzmiał ostatni, prześliczny, łabędzi jego śpiew.

„Upadek beletrystyki niemieckiej występuje wyraźnie, ile razy weźmie się do rąk dobrą książkę pisarza zagranicznego." Temi słowy rozpoczyna Maks Kretzer, „niemiecki Zola" ocenę nowel norwegczyka Rudolfa Schmidta. Jest to jedna z cech współczesnej doby literackiej w Niemczech, że piśmiennictwa obce znajdują u młodszych autorów pełne uznanie, że autorowie ci przyznają wprost, iż Zola, Dostojewski, Tołstoj i Ibsen są ich mistrzami, a Kielland, Stundberg, Ola Hamson starszymi kolegami, którym wiele zawdzięczają. Ta nieufność do literatury niemieckiej, a uwielbianie północnej przebija się charakterystycznie w rysach drobnych: autorka „Borysa Leńskiego" przyjęła jako pseudonim imię znanej postaci w beletrystyce ruskiej, Arno Holz zaś wydaje nowele pod maską skandynawczyka. Wobec zajęcia, jakie autorowie skandynawscy budzą dziś w Niemczech, wobec gorliwości, z jaką tłomaczone są ich dzieła, warto przyjrzeć się tym utworom, służącym za wzory realistom niemieckim. Rudolf Schmidt, w ojczyźnie swej oddawna już cieszący się uznaniem, celuje w charakterystyce, w analizie procesów psychicznych. Człowiek zewnętrzny występuje w utworach jego o tyle tylko, o ile niezbędnym jest dla objaśnienia sytuacyi lub osnowy. Z sześciu nowel, które znajdujemy w świeżo wydanym tomiku jego utworów, zasługuje na uwagę głównie druga p. t. „Wdowa." Joanna Karstens, córka uczonego proboszcza wiejskiego, straciwszy zamłodu matkę, wyrasta bez wychowania. Ojciec nie dba o wykształcenie jej; Joanna zna tylko Clausena i Lafontaina, których znalazła na strychu w rupieciach po matce pozostałych. Z podnieconą wyobraźnią, pełna tęsknoty nieokreślonej, przybywa młode dziewczę do Kopenhagi, gdzie wszystkie podlotki rozkochane są w nowym tenorze. Naturalnie że i Johanna znajduje w nim swe bożyszcze i z fotografią jego wraca do domu. W służbie proboszcza pozostaje wówczas Morten, parobek-donżuan, który uwiódłszy już parę dziewcząt, zajmuje się obecnie piękną Joanną: powstaje w nim ambitny zamiar pozostania zięciem proboszcza. Pewnego dnia dziedzic urządza zabawę dla swej wsi; Joanna jako najpiękniejsza zaćmiewa wszystkie. Nagle staje przed nią — tenor z Kopenhagi, który bawi w gościnie u hrabiego. Tańczy z Joanną, której namiętność rośnie. Pożegnał ją, lecz dziewczęta zauważyły wielkie podobieństwo między nim a Mortenem. A kiedy Joanna nocą letnią, oparta na ramieniu Mortena, wraca do domu — śmiałość parobka pokonywa rozmarzoną dziewczynę. Proboszcz nie widzi innego wyjścia — prócz ślubu. Joanna wychodzi za parobka i przebywa lat parę u boku jego wśród męczarń. Wydaje na świat parę dzieci nieżywych. Morten, który się rozpił, umiera wreszcie. Wówczas Joanna, wróciwszy do domu ojcowskiego, uchodzi za starą pannę, a kiedy i proboszcz umiera, przenosi się ona do Kopenhagi. I tam, po wielu latach, spotyka u znajomych —owego tenora, który tymczasem wyszedł na pasorzyta wstrętnego, goniącego resztkami głosu i żyjącego ze wspomnienia dawnej sławy. Dla tego to nędznego człowieka, który obecnie jest pijakiem nałogowym, całe jej życie upłynęło w smutku. Z tego szkicu nie będą czytelnicy mieli wyobrażenia o właściwych zaletach utworu, który odznacza się misternem odtworzeniem procesów psychicznych i niezwykłą siłą w sposobie przedstawienia. Inne nowele Schmidta, obok zalet podobnych, nacechowane są niestety manią naturalistyczną w stopniu o wiele wyższym: znają one jeden tylko punkt środkowy, około którego w nich świat cały się obraca—upadek kobiety. A jednak życie współczesne mieści w sobie tyle motywów zajmujących, tragicznych częstokroć i potężnych, niemających nic wspólnego z fizycznym stosunkiem ludzi.

Straszliwa książka, którą świeżo ogłosił mało znany literat niemiecki, Hedrich, p. t. „Alfred Meissner-Franz Hedrich" zapozna nas z tragedyą życia jednego z najpopularniejszych powieściopisarzów niemieckich, otwiera przed nami głębie psychiczne, które nie często oku ludzkiemu się odsłaniają. Hedrich znany jest starszym literatom praskim, jako świetny stylista. W r. 1862 wydał on utwór p. t. „Nachtstücke aus dem Hochgebirge" z entuzyastyczną przedmową Meissnera. Następnie imię jego zniknęło zupełnie z literatury; Hedrich przeniósł się do Edynburga. W książce teraz ogłoszonej twierdzi, że większa część sławy Meissnera jemu się należy. Wszystkie popularne powieści Meissnera miał on napisać, a dramat „Pretendent Jorski" przerobił. Usiłuje mówić tonem objektywnej sprawiedliwości; atoli z każdej strony bije gorące tętno nienawiści i żalu długo ukrywanego. Na czem opiera Hedrich swe oskarżenie? Na dowodach niezbitych po części, przedewszystkiem na listach Meissnera, przechowywanych przez nakładcę Janke'go, następnie na własnych rękopisach i notatkach. Oto pokrótce przebieg tej sprawy, budzącej obecnie wrażenie w całym świecie literackim. Hedrich poznał Meissnera w r. 1847; czcząc podobne ideały, młodzi wówczas literaci zaprzyjaźnili się serdecznie. Według opowiadania Hedricha Meissner, aczkolwiek wówczas już sławny, od pierwszej chwili uległ energiczniejszemu, bystrzejszemu i zdolniejszemu towarzyszowi. A stwierdzają to najzupełniej listy Meissnera. Autor „Ziski" prosił Hedricha o przerobienie dramatu „Der Praetendent von Jork." Niebawem Campe zamówił u Meissnera książkę o Heinem, przyrzekając mu zarazem przyjęcie własnego utworu. Hedrich pisał wówczas powieść p. t. „Der Pfarrer von Grafensied": przyjaciele postanowili przedstawić powieść tę Campemu jako dzieło wspólne i wydali je pod imieniem Meissnera a pod tytułem „Zwischen Fürst und Volk." Meissner chciał istotnie uczestniczyć w pisaniu; ale Hedrich odrzucał jego próby. To samo powtórzyło się z całym szeregiem dzieł. Hedrich pisze „Barona de Hostinin" a Meissner poświęca tę powieść jemu. Co do honoraryum ułożyli się w r. 1865. Pod tym względem niema kwestyi spornej. Co do autorstwa — Hedrich zgodził się poprzestać na uznaniu jego współpracownictwa. Atoli Meissner zwleka z roku na rok. Sędziwy ojciec wydziedziczyłby go, dowiedziawszy się o tem Hedrich, przyrzeka czekać aż do śmierci starego Meissnera, lecz ten żyje jeszcze lat dziesięć! Tymczasem pojawia się „Sansera," „Neuer Adel," „Schwarzgelb," „Babel" — pod imieniem Meissnera. Sprawa publicznego uznania współpracownictwa Hedricha staje się coraz bardziej naglącą. Tymczasem Meissner się zaręcza i błaga byłego przyjaciela o względność wobec narzeczonej. Urządza sobie urocze gniazdo w Bregencyi nad jeziorem Bodeńskiem; a Hedrich jako wierzyciel osiedla się w Lincu i poprzez jezioro toczą się rokowania najprzykrzejszej natury. Wreszcie, 9 maja 1885 r. Meissner zwraca się do żony Hedricha z listowną prośbą o pośredniczenie, a kiedy ta daje odpowiedź odmowną, Meissner umiera 29 maja — rzekomo na porażenie mózgu.

Listy są dowodami. Okazują one nam długoletnie męczarnie człowieka, który uchodził za najszczęśliwszego z powieściopisarzy niemieckich. Wstępuje w nich dziwny obłęd i rozkład tej duszy, niegdyś czystej i szlachetnej. Z jednej strony wmawia sobie Meissner, że jest współpracownikiem Hedricha, tworzy mistyczną jakąś teoryę identyczności; z drugiej staje się coraz bardziej pokonanym jego niewolnikiem i wielbicielem, nazywa go „wielkim mistrzem," „czarnoksiężnikiem," każdy świeży rękopis wita entuzyastycznemi słowami: „cudowne!", „wspaniałe!"

A okrzyki te działają przygnębiająco na czytelnika, bo odkrywają przed okiem jego całą głębię chorobliwych procesów, którą by pokryć chciały.

Twierdzenia Hedricha będą rozważane przez sąd literacki. Juliusz Grosse pisał już o nich w miesięczniku *Nord und Süd* a Robert Byr, znany powieściopisarz i szwagier Meissnera, przyrzekł dać wyjaśnienia. Atoli nawet gdyby cała ta tragedya miała okazać się prawdziwą, zawsze Meissnerowi należyć się będą wawrzyny za poezye jego epiczne i liryczne, a Hedrich, który zawarł z nim ów układ, pragnąc na wcześniejszej sławie Meissnera oprzeć powodzenie dzieł swoich, ponosi wielką część winy, którą obecnie zwala całkowicie na Meissnera. Tragiczność stosunku polega na tem, że i Meissner był poetą istotnie wysoce uzdolnionym, a Hedrich, zimny, despotyczny i demoniczny, złamał jego twórczość i uczynił go swym zastępcą w literaturze. Porównywają go do Mefista, który niewidzialnie towarzyszył Meissnerowi podczas życia, gromadząc mu skarby i dozwalając używania ich — by po śmierci sięgnąć po nieśmiertelną duszę jego: po jego sławę.

*Ładawa.*

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Działalność pisarska Kraszewskiego po śmierci. — Wzrastająca zagadka jego płodności. — Szczere wyznania. — Szlachta zagraniczna i nasza. — Czem jest dziś szlachta polska. — Jej demokratyzm. — Chińczycy do Prus przyjadą. — Bajka o zbiorze okazów pszenicy. — Druga o Bazarze rzemieślniczym. — Wymowny głos. — Czyż nic nie będzie? — Medal dla Estreichera. — Nadzieja przedruku *Bibliografii.*

Kraszewski nie przestaje pisać. Blizko trzy lata już upłynęły od jego śmierci, a spu-

ścizna literacka po nim jeszcze niewyczerpana. Ciągle ukazują się nowe utwory, rozprawy, artykuły. Zdawało nam się, że już to, co za życia w świat puścił, przechodzi najwyższą miarę płodności umysłu ludzkiego, że już ten ogrom pracy pozostawia nierozwiązaną zagadkę, jakim sposobem ona w granicach lat kilkudziesięciu zmieścić się mogła. Tymczasem nieboszczyk dodaje do tego ogromu coraz nowe a tak liczne płody, że same one złożyłyby się na pokaźny dorobek niejednego pisarza.

Ponieważ nasze sądy i uczucia są tylko wyrazami naszego stosunku do przedmiotów zewnętrznych, przeto każdy człowiek mówi prawdziwie i ciekawie, który mówi szczerze. Tylko kłamca błądzi i jest nudny. Zwłaszcza wielu poetom zarzucano sprzeczności w zdaniach; dowodzono im, że raz nazywali czarnem to, co drugi raz uważali za białe; że jedne i też same rzeczy wydawały im się złe i dobre, szpetne i piękne. Tego rodzaju procesy, wytaczane przez krytykę poetom, należą do największych niedorzeczności pod słońcem. Bo dlaczegoż nie oskarżamy ich, jeżeli raz porównają strumień do wstęgi, drugi raz do węża, trzeci— do warkocza, czwarty — do żyły srebrnej, piąty — do nici pajęczej itd.? Czy każdy człowiek, który kiedyś zachwycał się wonią narcyza a potem nie może jej znosić, popełnia sprzeczność? Bynajmniej: woń ta rzeczywiście dawniej sprawiała mu przyjemność a później również rzeczywiście przykrość. Oba uczucia, a więc i ich wyrażenia były prawdziwe. Mniemanie starożytnych, że ziemia jest płaską i nieruchomą, wobec wiedzy ówczesnej nie było wcale błędem a byłoby nim wtedy dopiero, gdyby astronomowie greccy tak twierdzili wbrew swemu przekonaniu.

Może żaden autor nie wypowiedział więcej zdań sprzecznych, niż Kraszewski—dla tej prostej przyczyny, że sam napisał większą literaturę, niż posiada niejeden naród, oraz że był człowiekiem wrażliwym i uczuciowym. Jemu istotnie zdawało się raz, że postęp jest zbawieniem narodu, drugi raz—że nieruchomość, że szlachta kryje w swem łonie zaczątki odrodzenia lub nasiona śmierci — itd. On, który był czczony, ceniony, ubóstwiany, wkrótce po niebywałych hołdach, jakie mu złożono z powodu jubileuszu, zanotował w swym pamiętniku skargę, że niema gdzie spocząć, że musi przebywać śród obcych, bo go swoi odtrącają i uważają za „przybłędę" a wierzył w to mocno, gdyż tak mówił do siebie. Te jego rozmowy z własną myślą drukuje obecnie *Tygodnik ilustrowany* p.t. „Fantazye i wspomnienia." Ponieważ zaś są to zwierzenia szczere, więc prawdziwe i ciekawe. Między innymi przedmiotami zastanawia się Kraszewski nad szlachtą. Niemiecka — według niego — jest kastą, odmurowaną od innych warstw społecznych kopalnymi przesądami. Jest to zdumiewające, do jakiego stopnia naród może być równocześnie mądrym i głupim, cywilizowanym i barbarzyńskim. Nawet my, przezywani *Schlachtizen-Volk'em*, wtajemniczywszy się w stosunki życia niemieckiego, doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy się znaleźli śród hindów, staroegipcyan lub jednego z tych ludów dzikich, gdzie osoby klas wyższych są *tabu* dla niższych. Dość powiedzieć, że tam niema tak wielkiej zasługi, urzędu, tytułu, godności, któraby zrównoważyła szlachectwo. Prezes sejmu przywołałby do porządku posła, któryby śmiał nazwać swego kolegę „panem Huene" zamiast „panem *von* Huene." Słówka tego niewolno opuszczać nawet w skróceniach telegraficznych: żadna depesza nie doniesie: „minister Gossler," lecz „minister *v.* Gossler." Nie zrzecze się go nigdy i nigdzie największy uczony lub dostojnik i raczej pominie wszystkie inne tytuły, niż swoje szlachectwo. Zdawałoby się, że Humboldtom powinnoby już wystarczać samo nazwisko; tymczasem nawet profesorowie uniwersytetów przy wykładach nie powiedzą inaczej, tylko: „Aleksander *von* Humbolt." Bismark rozpostarł swą sławę po całej kuli ziemskiej, jest ministrem, kanclerzem, księciem a jednakże mniej waży sobie wszystkie te godności i zawsze podpisuje się: „*v.* Bismark," Naturalnie Kraszewskiego musiała uderzyć ta skamieniałość cywilizacyjna i nasunąć mu porównanie szlachty niemieckiej z naszą. „Tu po kataklizmach — mówi on — pozostała szlachta zawsze jakąś kastą wyłączną, gdy u nas oznacza raczej stopień wykształcenia i cywilizacyi, a nawet zamożności... W niektórych pułkach (niemieckich) oficer szlachcic, żeniący się z kupcówną, musi podać się do dymisyi, inaczej zmuszonoby go do tego — *il a derogé!*.. Demokratyczniejszej szlachty nad naszą polską nie było i niema na świecie. Przyjmuje ona do swego łona wszystkie żywioły, które mają kwalifikacyę jakąkolwiek." Zdanie to jest do pewnego stopnia słusznem, gdyż szlachta polska wchłania żywioły najróżnorodniejsze: ludowe, mieszczańskie, żydowskie, urzędnicze, niemieckie, francuskie itd., a niewiele jest w niej takich rodzin, które by przestrzegały czystości krwi w związkach małżeńskich. Ale z drugiej strony zważmy, co u nas nazywa się „szlachtą"? Ziemianie, gospodarujący na większych obszarach i przedstawiający mieszaninę najrozmaitszych pierwiastków: są to również potomkowie wielkopańskiej czeladzi, którzy dorobili się majątku, synowie propinatorów, kupców, fabrykantów, rzemieślników, lichwiarzów, a w tym bigosie coraz rzadziej ukazuje się prawdziwy karmazyn. W Niemczech szlachta, jak wolnomularze, rozszedłszy się po wszystkich sferach społecznych, tworzy stan, bractwo, kastę; u nas przyczepiła się jedynie do roli. Czy ktoś pod wyrazem „szlachcic polski" rozumie urzędnika, literata lub profesora? Nigdy — zawsze tylko ziemianina. Właściwie zatem my szlachty nie mamy, gdyż roztopiła się ona w innych żywiołach społecznych, pozostawiwszy swe imię właścicielom folwarków. Uprzytomnienie sobie tej zmiany i tego faktu jest koniecznem dla nadania naszym wywodom społecznym większej jasności. Obecnie bowiem nie wiadomo, o co chodzi obrońcom i przeciwnikom szlachty: czy oni osłaniają lub zwalczają w tem pojęciu przedstawicieli rodów, czy też przedstawicieli interesów, czy walczą o herby, oraz związane z nimi pretensye, zasady i tradycye, czy też o większą własność ziemską; czy „przodującą klasę," „czołem narodu" itd. stanowią tylko posiadacze klejnotów rodzinnych, czy też i chrześciańscy posiadacze folwarków. Mówię: chrześciańscy, chociaż kiedyś usłyszałem z ust pewnego żyda: „my szlachta, proszę pana, znajdujemy się obecnie w ciężkich warunkach." Naturalnie taka szlachta musi być i jest „najdemokratyczniejszą w świecie."

Żartowano, wyszydzano, nazywano złośliwym wymysłem wiadomość, że po wypędzeniu z dzielnic polskich w Prusach 30,000 „obcych przybyszów," „krajowi" ziemianie do robót wiejskich zamierzają sprowadzić sobie chińczyków; a jednakże ta „niedorzeczna plotka" oblekła się w ciało. Szczeciński oddział pomorskiego Towarzystwa ekonomicznego wyznaczył komisyę, która ma się porozumieć w tej sprawie z posłem chińskim w Berlinie. Warkoczowi tedy obywatele Państwa Niebieskiego uzyskają te prawa nad Odrą i Wartą, których odmówiono tuziemcom. Jakkolwiek potworną jest ta logika, życzę jej powodzenia. Owszem, niech ona przejawi się w postaci widomej, wyraźnej, przypominającej poglądowo sławę „największego męża stanu w obecnem stuleciu" i moralność „królestwa dobrych obyczajów." Niech chwalona, podziwiana a występna polityka sprowadzi się sama *ad absurdum* — to dla jej ofiar może być tylko pożytecznem. Gdybym miał dom komisowy w Pekinie, chętnie ułatwiłbym niemcom pomorskim werbunek robotników chińskich a będę mocno żałował, jeśli śmieszność zabije ten projekt przed urzeczywistnieniem go. Im bardziej ohyda rozdziewa się z moralnych osłonek, tem dla gnębionych przez nią lepiej.

Ktoś opowiedział mi następującą bajkę:

Wychowańcy szkoły rolniczej w Pruszkowie zgromadzili z wielkim mozołem i starannością bardzo bogaty i pouczający zbiór wszelkich gatunków pszenicy i jej pasorzytów, składający się z kilkuset okazów. Kosztował on parę lat pracy i zabiegów. Po zniesieniu owej szkoły, studenci jej ofiarowali tę piękną kolekcyę warszawskiemu Muzeum przemysłu i handlu. Umieszczono ją na strychu, ale ponieważ zbyt obciążała go, więc kazano przenieść do piwnicy. Służący Muzeum dla ułatwienia sobie roboty urządzili rodzaj sani, któremi zsunęli cały zbiór na dół, gdzie dotąd spoczywa w bezładzie, oczekując miłosierdzia... myszy. O, niechże one co prędzej okażą się dla niego litościwe! Przynajmniej wtedy spadnie nam z serca kamień myśli, że tak godnie uczciliśmy pracę zbiorową i tak rozumnie zużytkowaliśmy jej owoce. Ale po co ten z wyraźnym adresem morał? Przecież to bajka, niezwiązana z rzeczywistością niczem, prócz chyba tylko nicią możliwości. Więc czemuż ją powtórzyłem? Prosił raz młody żydek ojca, ażeby mu dał dwuzlotkę na „przyjemność." Aż dwa złote na przyjemność! — odezwał się stary. Możesz ją sobie sprawić darmo. Ot leżysz pod pierzyną: wysuń nogę, a gdy ci ziębnie, wsuń nazad i będziesz miał przyjemność. Podobnież i wy czytelnicy, pomyślcie naprzód, że to, co opowiedziałem, jest prawdą, a potem przypomnijcie sobie, że to bajka.

A teraz druga. Ktoś rozumny a o dobro społeczne dbały rzucił w opinię myśl założenia w Warszawie „Bazaru rzemieślniczego," który by był: sklepem wspólnym dla rzemieślników, nieustającą wystawą ich wyrobów, biurem informacyjnem dla kupujących, wreszcie miejscem zbytu towarów kontrolowanej wartości. Nazajutrz powstał gwar obiecujący wielkie poparcie dla projektu; następnego dnia zaczęły płynąć składki; potem wrzawa coraz bardziej cichła, potok pieniężny wysychał, a przedsięwzięcie rozpływało się w mgłę, aż wreszcie wielka góra urodziła... wiadomość, że z „Bazaru pewnie nic nie będzie." Jego ojcowie bowiem znaleźli się z trzecią częścią potrzebnego kapitału wobec zupełnie wygasłego wulkanu... dobrych chęci. Otóż któryś z nich chwycił w jedną rękę rózgę, w drugą — skarbonkę i rozpoczął chłostę a zarazem kwestę śród rzemieślników i zamożnych przemysłowców zapomocą osobnej broszury. Napisał ją prosto, jasno, bez wysokich szczudeł i stylistycznych popisów, ale tak dzielnie, serdecznie i rozumnie, że doprawdy wart tytułu Mirabeau rzemieślniczego. Wykazawszy wielostronną pożyteczność zamierzonej instytucyi, powiada: „Francuzi urządzili przez ten czas wystawę powszechną, zbudowali setki pawilonów, sprowadzili narody ze wszystkich pięciu części świata — a my skromnego sklepu na Bazar nie zdołamy otworzyć!.. Ale francuzi są ludźmi czynu, a my jesteśmy grabarzami wszelkiej działalności i największą przyjemność nam sprawia, gdy, jak karawaniarze, odprowadzamy wszystko, co jest nowem, na mogiłki zapomnienia." Wszakże dobre i gorące serce nie może długo utrzymać w sobie zarzutu i pozbyć się wiary. „Boć w rezultacie my nie gorsi od cudzoziemców — powiada autor. Opatrzność nie nacechowała nas jakiemś znamieniem upośledzenia, i bylebyśmy tylko chcieli robić i robili uczciwie — nie jedna, ale i więcej spółek nie będzie nad nasze siły." Niewiara w nasze zdolności do stowarzyszeń wydaje mu się bajką. „To androny poprostu!" — woła w szlachetnem oburzeniu.

Nie będę rozczarowywał ani jego, ani jego czytelników, których bodajby miał jak najwięcej, gdyż dawno nie odezwał się pu-

bliczne głos równie prosty a serdeczny. Chodzi mu o zebranie jeszcze 7,000 rs. z wkładów 25 rublowych, które przyjmuje Towarzystwo popierania przemysłu i handlu. Jeżeli bajką jest nasza nieudolność do przedsięwzięć zbiorowych a nie jest nią ufność autora — to czyż podobna, ażeby śród naszych bogatych przemysłowców nie znalazło się tyle dobrej woli, ile potrzeba na dopełnienie funduszu zapasowego tej pożytecznej instytucyi? Jak to — niema szczodrych rąk, któreby już nie dały, ale pożyczyły 7,000 rs. na założenie Bazaru rzemieślniczego? Nie należę do optymistów, a jednak sądzę, że to jest a przynajmniej być powinno istotnie bajką.

Znalazło się natomiast tylu wielbicieli Estreichera, że przygotowali mu medal pamiątkowy. Zaszczyt taki spotkał u nas niewielu „dobrzo zasłużonych.“ Czy należał on się również Estreicherowi, sądzić można rozmaicie, gdyż *Bibliografia*, która mu go przyniosła, jest z jednej strony dziełem ważnem i długotrwałem, z drugiej robotą mechaniczną, w użyteczności swej tylko do pewnych kół społeczeństwa ograniczoną i zbiorową. Sam Estreicher inwentarza literatury naszej nie spisał, miał on wielu wyręczycieli, którzy włożyli w nią ogrom pracy. Nie wiem, czy on, przyjmując hołd, wspomniał o tych cichych i nieukazanych światu pomocnikach, bez których byłby go może nie zdobył; w każdym razie część zasługi im się należy. Jedno z pism donosi, że ponieważ niektóre tomy *Bibliografii* posiadają braki, pokrywane zeszytami dopełniającymi a niektóre znowu zawierają tylko spisy tymczasowe — więc trzeba będzie niedługo całe dzieło w poprawnem wydaniu przedrukować. Czy to będzie nie za kosztowny zbytek? Czy nie roztropniej byłoby zaniechać druku spisów tymczasowych i ogłaszać tylko ostatecznie uporządkowane?

*Poseł Prawdy.*

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Dr. Leśniewski**, zamierzając opracować studyum nad Chałubińskim, prosi o dostarczanie mu wszelkich potrzebnych ku temu materyałów.

**Encyklopedya** ilustrowana medyczny i hygieny zacznie wychodzić zeszytami pod redakcyą d-ra J. Starkmana, nakładem Orgelbranda.

**Spółka Nakładowa** postanowiła wydać *Wizerunki Mickiewicza* w opracowaniu L. Meyeta oraz *Kulturę pierwotną* E. Tylora.

**Koncert studencki** odbył się ze zwykłem tj. wielkiem powodzeniem. Przyjmowali w nim udział: Michałowski, Aloiz, Szymanowski, Czaki, Kotarbiński i inni.

**Szkoły.** Przy Konserwatoryum warszawskiem powstanie jeszcze jedna klasa fortepianowa w celu umożliwiania uczniom początkującym wstępu do zakładu. Mają być przyjmowane dzieci od lat 8.

— Szkoła rysunkowa w Petersburgu obchodziła 50-letni jubileusz istnienia. Przy tej sposobności Najjaśniejszy Pan ofiarował na rozszerzenie zakładu 100,000 rs.

— Profesorowie nowego uniwersytetu we Fryburgu (w Szwajcaryi), w celu przyciągnięcia słuchaczów postanowili zrzec się czesnego od studentów.

— Ministeryum oświaty w Austryi zamierza ograniczyć wykłady prawa rzymskiego, niemieckiego i kanonicznego, a natomiast rozszerzyć zakres nauki ekonomii politycznej, prawa cywilnego i administracyjnego.

— Wszechnica w Bukareszcie obchodziła 3 listopada 25-lecie swego istnienia.

— Szkoła malarstwa i rzeźbiarstwa otwartą będzie w Charkowie.

— Gimnazyum 6-klasowe żeńskie w Grodnie zamienione na 7-klasowe.

— Na kolei Wiedeńskiej odbyły się w tych dniach egzaminy ze znajomości telegrafii aplikantów, kwalifikujących się na etatowe posady na tejże kolei.

— Ministeryum oświaty wydało katalog bibliotek uczniowskich z wymienieniem tych książek, które mogą być dawane uczniom do czytania.

— Akademii nauk zaproponowano urządzenie z funduszów ministeryum oświaty, marynarki i komunikacyi — instytutu hydrograficznego.

**Rolnictwo.** Do ministeryum skarbu wniesiono podanie, aby Bank państwa mógł wydawać zaliczki na zboże, ładowane w wagony, na wzór prywatnych instytucyj bankowych, pobierających od zaliczek 10% rocznie.

— Ministeryum dóbr państwa stara się o uzyskanie na rok przyszły następujących kredytów: 35,000 na popieranie drobnego przemysłu wiejskiego, 40,000 na poparcie hodowli bydła, 5,000 na cele związane z rozwojem rybołówstwa, 60,000 na rozwój winnic.

— W Smoleńsku na zjeździe plantatorów lnu opracowano „związek wytwórców“ tego produktu.

**Wyzysk.** Krawaciarki warszawskie skarżą się, iż liczni właściciele fabryk krawatów rozsyłają swoich agentów lub agentki do szwaczek, namawiając je do przyjęcia roboty. Ubogie dziewczęta zgłaszają się do fabryk, skąd otrzymują po 6—10 rozmaitych fasonów z żądaniem szycia „dla próby.“ Po odniesieniu próbek fabrykanci i ich pełnomocnicy odmawiają wydania dalszej roboty, oświadczając, iż krawaty zostały źle wykonane.

**Wystawy.** D. 7 grudnia otwartą będzie w Warszawie nowa wystawa malarska pod nazwą „Przegląd pracowni.“

— W Taszkiencie latem r. 1890 otwarta będzie wystawa rolnicza.

— Towarzystwo Sztuk Pięknych w Warszawie urządza w styczniu r. p. wystawę konkursową sztuki rzeźbiarskiej. Będą przyjmowane dzieła, wykonane w ciągu trzech lat ostatnich i które nie znajdowały się na żadnej wystawie warszawskiej. Deklaracye przyjmuje kancelarya Towarzystwa do dnia 15 grudnia r. b. Za najlepsze dzieła będą przyznane trzy nagrody pieniężne: 600, 300 i 200 rs., nadto będą wydawane listy pochwalne.

— Towarzystwo wolno-ekonomiczne w Petersburgu otworzyło wystawę nasion.

**Pensyonat leczniczy** dla niezamożnych chorych otwarty będzie w Ciechocinku w r. p.

**Kasy.** Przy 20 urzędach w gub.: twerskiej, nowogrodzkiej, moskiewskiej i riazańskiej otwarto nowe kasy oszczędności.

**„Féeries,“** teatrzyk żywych obrazów w Warszawie, został zamknięty skutkiem braku powodzenia.

**Stypendya.** Na rok szkolny 1889/90 zawakowało 90 stypendyów z zapisów prywatnych na sumę ogólną 13,550 rs. 50 kop. Podania składać należy przed 13 grudnia w kancelaryi okręgu warsz.

— Ministeryum oświaty zatwierdziło zapis Orlickiego w sumie 2,000 rs., od których procenty przeznaczone będą dla uczniów gimnazyów i studentów uniwersytetu warszawskiego, z pierwszeństwem dla kandydatów z rodziny zapisodawcy.

**Bibliografia.** L. Ćwierciakiewiczowa *Kolęda dla gospodyń*, kalendarz na r. 1890, Warszawa.

— G. Chwat *Buchhalterya podwójna*, popularny wykład dla samouków, zeszyt I, Warszawa.

— M. Gawalewicz *Komedye* jedno aktowe i monologi, serya druga, str. 311, Warszawa.

— J. T. Weber, *Sztuka ożenienia się i wyjścia za mąż*, str. 100, Warsz. Orgelbrand.

**Leczenie domowe.** Pod tym tytułem księgarnia Orgelbranda wydała szereg książeczek tłomaczonych. Dotąd wyszły: *Ucho* L. Loewego, *Choroby zębów* Guérarda, *Skrofuły* Niemeyera, *Choroby serca* A. Langego, *Choroby kobiece* J. H. Baasa, *Skóra i jej choroby* (oryg.) J. Starkmana, *Gimnastyka* Grünfelda.

**Wiadomości administracyjne.** W komitecie ministrów ostatecznie postanowiono poddać kontroli rządowej obroty wszystkich kolei żelaznych.

— W celu ułatwienia wymiany paszportów mają być wprowadzone nowe przepisy, na mocy których wymiana będzie się odbywać za pośrednictwem izb skarbowych. Wydane kwity służyć będą jako legitymacya do czasu przysłania nowego paszportu.

— *Now. Wr.* donosi, iż w początku r. p. ma być zniesione stanowisko głównego naczelnika zarządu cywilnego na Kaukazie, a natomiast przywrócone będzie namiestnictwo.

— Rada kontroli państwowej wydała instrukcyę, ograniczającą wydatki magistratów w Królestwie Polskiem na ogłoszenia w dziennikach o licytacyach, dostawach itd.

— W izbach skarbowych wkrótce zaprowadzony będzie system uskuteczniania wypłat czekami na Bank państwa celem nagromadzenia gotowizny w Banku.

**Reforma adwokatury.** Zamierzone są zmiany w ciele obrońców, według których pomocnicy adwokatów podlegać będą specyalnemu egzaminowi przed zaliczeniem ich do adwokatów przysięgłych. Obrońcy przy sądach handlowych tudzież prywatni będą skasowani. Natomiast wprowadzona będzie instytucya obrońców sądowych, do której zaliczane być mają osoby z wykształceniem średniem po złożeniu odpowiedniego egzaminu prawnego. Żydom do tej instytucyi wstęp wzbroniony; stosunek zaś ich wśród adwokatów ma być ograniczony do 10%. Egzaminy na obrońców przysięgłych odbywać się będą przed Izbami sądowemi, a na obrońców sądowych—przed sądami okręgowymi.

— Według nowych przepisów, dotyczących adwokatury, gubernatorowie będą mieli prawo zawieszać czasowo czynności t. zw. obrońców sądowych, jeżeli dostrzeżone będą nadużycia, szczególnie w sprawach włościańskich. W razie powtarzających się nadużyć obrońca sądowy może być na zawsze pozbawiony prawa stawania w sądach.

**Na regulacyę Wisły** skarb państwa przeznaczył 1,500,000 rs., 500 tysięcy rocznie.

**Sklepy spożywcze** dla niższej służby policyjnej otwarte będą przy cyrkułach i koszarach w Warszawie.

**Bazar** urządzony będzie w Warszawie na rzecz domu schronienia dla nauczycielek.

**Malarze** warszawscy zamierzają sprzedawać obrazy na raty.

**Zmarli.** Juliusz Ligoń, kowal, poeta i publicysta ludowy na Szlązku pruskim.

— Celina Dobrzańska, w Krakowie; przez pewien czas samodzielna dyrektorka teatru tamtejszego.

— William Lukas Sargant, angielski pisarz społeczny i zarazem fabrykant broni.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Stałemu czytelnikowi w Charkowie*: 1) Istnieje, bo co w naszym języku nie istnieje, ale ma sens tylko w znaczeniu ustawy lub dowództwa strażaków; 2) jest stanowczo świeżą i obcą naleciałością; po polsku: *obdzielić* lub *rozdzielić* i *udział*.

**Uwaga.** Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Ноября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski